

Artemia

Dwutygodnik literacki ■ 15.X.57 ■ 2 zł

Rok XXIV Nr 137

LUBLIN

Z powodu Dni Kultury Lublina

STEFAN WOLSKI

JEST rzeczą ze wszech miar słuszną i celową, że Lublin wraca do tradycji organizowania „Dni”.

Jak pamiętamy, ostatni raz świętowaliśmy „Dni Lublina i Lubelszczyzny” na progu drugiej wojny światowej. Było to w czerwcu 1939 r. Już wtedy nad tą piękną imprezą zaciążyło widmo grożącej wojny. W harmonię świetnie i dostojnie zorganizowanej imprezy niepokój wkraadał się jak dysonans.

Hojnie odnowiony w historycznych, barwnych szatach Rynek Starego Miasta wkrótce potem legł częściowo w gruzach. Ocalałe kamieniczki ukazywały bolesne rany na ciele swych pięknych frontonów. Obco i nieswojo wyglądał szlachetny owal twarzy Sebastiana Klonowicza-Acerna, jednego z pierwszych twórców polskiej mowy literackiej, umieszczony na fasadzie domu, w którym mieszkał i tworzył. W jego kierunku szczyrzyły zęby poszarpane bombami mury zabytkowych kamienic i tragicznie patrzyły puste oczodoły wypalonych okien. Na bruk lubelski upadły pierwsze męczeńskie łzy narodu, któremu historia nigdy nie szczędziła razów i kajdan. Skarby wiekowej kultury miasta chowano głęboko i przemysłnie przed jastrzębim wzrokiem hitlerowskich korsarzy. Wspaniały „Grunwald” Matejki znalazł schronienie w Lublinie. Ówczesny naczelnik wydziału gospodarczego zarządu miejskiego, Roman Pieczyrak, z narażeniem życia własnego i pomocnych mu rodaków powierzał dyskrekcji i wierności ziemi Lublina owo bezcenne płocho. Po bezcenne księgozbiory Biblioteki Hieronima Lopacińskiego wyciągnęła się chciwa łapa okupanta. Ale naród bronił się; ukrywano co cenniejsze rzeczy. Na krótko tylko umilkły lutnie poetów, upadły pióra prozaików i dramaturgów; na krótko przestał mówić Chopin i Moniuszko z sal koncertowych do narodu. Wkrótce stłumiony głos poezji zaczął dobiegać z podziemi konspiracji. Pewno — niestety — artyście nie było już dane odezwać się więcej. Zgasł na zawsze strzelista płomień mowy Czechowicza. Ciało poety rozszarpała bomba 9 września. Zginęła sędziwa poetka Arnsztajnowa, los jej podzielił młodzi twórcy — Domiński i Podstawka. Ale inni przetrwali. Tymczasem jednak rozpięchli się z Lublina. Artyści teatru stali się kelnierami.

Do drzwi ludzi, związanych z szerszym życiem kulturalnym, zaczęła po nocach stukać kościstym paluchem oprawców gestapo — śmierć. Na ulicach pojawiły się pierwsze tragiczne „przegony” bydła ludzkiego: szli w milczeniu piątkami — kobiety, dzieci, mężczyźni naznaczeni żółtą gwiazdą. Sterroryzowani stolarze drżącymi rękami wbijali ostatnie gwoździe w deski baraków na Majdanku, a murarze popędzani wrzaskami przedstawicieli „narodu panów” wykańczali budowę pieców śmierci. Zgasło słońce wolności. Powiała mroźna noc okupacyjnej niewoli. Któż tego nie zna? Które miasto nie przeżywało tej grozy?

Widmo owych niezapomnianych lat staje przed oczami nawet teraz, gdy Lublin wraca do pięknej tradycji obchodu swego święta. Dlaczego? Jest to chyba prawo kontrastu. Czerpiąc pełnymi rękami z ożywczego strumienia

wolności, niesposób zapomnieć o tym okresie, gdy głód intelektualny szarpał serce i mózg.

Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że powrót do tej tradycyjnej imprezy w naszych bardzo trudnych gospodarczo czasach jest wysiłkiem nie lada. Ale skarbiec naszego miasta nazbyt często ukazuje dno, gdy mowa o wydatkach na cele kulturalne. Jeszcze tu i ówdzie pokutuje duch starego stosunku do spraw kłopotliwej czasami nadbudowy: do kultury. Faktem jest, że nie zawsze plany Miejskiej Komisji Kultury i Wydziału Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej znajdują pełne zrozumienie i poparcie na posiedzeniach Prezydium, czasem nawet wbrew stycznym uchwałom MRN w sprawach kultury. Faktem jest, że niektórzy literaci, muzycy, plastycy i artyści teatru od lat na próżno wyczekują własnego mieszkania, że niektórzy nie mają w ogóle dachu nad głową, jak np. Zbigniew Jakubik, ale faktem jest również, że ostatnio miasto sporo pomogło swym intelektualistom. Brak jednak zrozumienia dla niektórych planów jest niewątpliwie powodem tego, że obecne „Dni” mają zaplecze w śmiesznie niewielkiej kwocie pieniężnej, przeznaczony na ich realizację. A, niestety, jak Polska długa i szeroka, wiemy, że dobre chęci, zapał i poświęcenie jednostek oddanych pracy dla kultury swego miasta nie zastąpią pieniędzy. Dobrze jednak, że ta sprawa w ogóle ruszyła z miejsca. Dobrze, że rok, rozpoczęty pełnymi obietnicami zobowiązaniami MRN Lublina pod adresem ludzi nauki i sztuki, będziemy kończyli wznawieniem Dni Kultury. Chcemy w tym kroku władz miejskich widzieć zapowiedź lepszego jutra, które powinno jak najrychlej zaświtać nie tylko dla puścizny artystycznej ludzi, którzy z Lublinem byli związani, jak Biernat z Lublina, jak Kochanowski, jak Klonowicz, jak Krasicki, jak Wincenty Pol, jak Kraszewski, jak Sciegienny, jak Junosza Szaniawski i tylu, tylu innych, lecz i dla tych, którzy teraz żyją i tworzą.

Ale, wracając do „Dni”... Za wcześnie jeszcze na ocenę, na takie lub inne uwagi krytyczne. Doświadczenia podsumujemy później i wyciągniemy z nich wnioski. Już teraz jednak niektóre rzeczy są pewne, np. to, że „Dni” powinny być organizowane rokrocznie i na szerszej bazie finansowej i że powinny przypadać na okres wiosenny lub letni. Chętnie zobaczylibyśmy barwne pochody na ulicach, pogderalibyśmy nad „Juwenaliami” młodzieży studenckiej, posłuchalibyśmy koncertów w Ogrodzie Saskim, obejrzelibyśmy tam jakąś sztukę (konieczność udaną), potańczylibyśmy na parkietach ulicznych... Tego wszystkiego nie dadzą nam chłodne dni i wieczory październikowe.

Gdy w niedzielę trzynastego października rozpocznie się uroczysta inauguracja Dni Kultury Lublina, gdy otworzą się sale odczytowe, koncertowe, widowiskowe teatrów, gdy wystąpią literaci, muzycy, plastycy i wszelaka bracia artystyczna Lublina, kiedy z rąk przedstawicieli władz miejskich tegoroczni laureaci nagród m. Lublina otrzymają czeki i dyplomy, nad imprezą tą jaśnieć będzie twarz muzy Pokoju, nadziei i zaufania do ludzi, którzy kierują naszymi losami. A to jest chyba najważniejsze.

Muzyka

Niebo odmienia się, choć wieczór nie ścichł,
wiatr jeszcze szeptem, nim uśnie.
Niebo fioletem szeleści.
Wiatr — już nie wiatr — uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru;
dziewczęta chwałą Marię.
Z Archidiakańskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arie.

Domów muzyczne milczenie,
złączone z tęczy łukiem,
na czoło kościoła promieniem
opada jak pukiel.

J
O
Z
E
F

A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spiżu.
Dzwon wieczorny,
mocą metalu kapiąc,
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:
raz — i dwa — i trzy — — —

ulicy Złotej



(fot. E. Hartwig)

C
Z
E
C
H
O
W
I
C
Z

Jest źle - musi być lepiej

BOLESŁAW RESCH

Wskreszone po długich latach niebytu, trwające obecnie Dni Kultury Lublina, poprzedzone pracą przygotowawczą małej, zbyt małej garstki tak zwanego aktywu kulturalnego miasta, upoważniają do pewnego podsumowania dokonanych i przedstawienia planów na przyszłość. Ani mi się jednak śni zawracać głowy czytelnikowi sprawozdaniem z „działalności”, ani też nie mam wieszczyczych talentów do snucia horoskopów. Po prostu za mało czuję się urzędnikiem (nie wiem czy to dobrze, czy źle), a do roli augura wróżącego z lotu ptaków nie jestem ani przygotowany, ani mi ten sposób planowania odpowiada. Chcę, korzystając z gościnny na łamach „Kamieny”, publicznie porozmyślać o losach naszej miejskiej kultury, trochę ponarząca, trochę „narozrabiać” i może trochę pomarzyć.

Chcę się na wstępie zastrzec, że rozważania moje trochę może nieuporządkowane, będą wyrazem mego osobistego punktu widzenia na pewne wybrane, jak mi się wydaje najistotniejsze, zagadnienia z dziedziny życia kulturalnego naszego miasta. Rad będę, gdy uda mi się wywołać możliwie szeroką dyskusję i polemikę. Byłoby to między innymi i dlatego korzystne, że wprowadziłoby choć trochę niezbędnego ożywienia w nasze ostatnio tak ospale bytowanie.

Lublin nie jest planetą ani wystrzelonym w Kosmos satelitą. Jest wojewódzkim miastem na wschodnich rubieżach PRL. Nie, to nie jest rewelacyjne odkrycie. Przypominam o tym po prostu dlatego, żeby uzasadnić twierdzenie, że sytuacja kulturalna w naszym grodzie jest między innymi uzależniona od ogólnej sytuacji kulturalnej w kraju, że jest w pewnym sensie jej mocno prowincjonalnym odbiciem. Choć ostatnio zaczynam mieć co do tego pewne wątpliwości. Przecież jednak w kraju coś się dzieje, jakiś ruch w kulturalnym interesie się odbywa (może nawet czasem właśnie zanedbanym w interesie). W nie tak odległej Warszawie i nie tylko w Warszawie dokonują się jakieś mniej lub więcej epokowe kulturalne wydarzenia, ludzie dyskutują, kłóca się i spierają — działają.

A w Lublinie? Cicho — nie budzić! Lublin śpi!

Trochę sobie lubelski świątek ponarząca na czasy komenderowania kulturą, trochę pogwarzył na temat świetnej przeszłości kulturalnej dawnego Lublina i, że „warto by to i tamto” l... zapadł w błogi sen. Zadowolono się odprawieniem egzekwii nad umarłymi przejawami i formami życia kulturalnego, trochę idąc za ogólną modą próbowano tu i ówdzie poeksperymentować — i stop! Pustka i nuda. Nic się nie dzieje! Nawet z nielicznych miejsc przypadających „na głowę ludności” w kawiarniach, tak zwany aktywu kulturalny Lublina jest coraz bardziej ostatnio wypierany przez pseudokociały miejscowego chowu i grupę młodzieży męskiej, manifestującej swoją nowoczesność i suwerenność kulturalną bojkotem fryzjerów, mydła i szcetek. Z rozrzewnieniem (proszę mnie nie posądzać o konserwatyzm) wspominam czasy zadziornych i zaczepnych recenzji teatralnych Haliny Chabros i Edmunda Grzybowskiego, ukazujących się wprawdzie prawie równocześnie ze zdjęciem sztuki z afisza, ale za to przeważnie z zasady skrajnie różnych w ocenie. To były okazje do sporów i dyskusji, mocium panie. Gdzież te anemiczne wprawdzie, ze względu na liczbę uczestników, ale często pełne swady i temperamentu dyskusje czy to na łamach prasy, czy w byłym Klubie Pracowników Kultury, po którego naglej śmierci trudno było prawie przez rok powołać do życia nowy twór odpowiadający nowym potrzebom i warunkom.

Tymczasem w kraju mimo wszystko, jak się rzekło, coś się na „odcinku kultury” dzieje. Bankrutują sprawy nieudane, zjawiają się i znikają w chwale lub niestawie rozmaite efemerydy, otrzymując na swe odejście odpowiednie noty. Odradzają się formy kultury narodowej ongiś zanedbane lub sztucznie niweczone, uzyskują rehabilitację niektóre, pochopnie, w zbyt niemiłosiernie potępiania w czambuł wszystkim z minionego 12-lecia, skazywane

na śmierć osiągnięcia kulturalne tego okresu, rodzą się wreszcie i przyjmują nowe formy.

Czyżby więc Lublin istotnie był na innej planecie? A może raczej głucha i zanedbana prowincja? Ja przychyliam się raczej do drugiej alternatywy, mimo, że niektóre przejawy nasuwają skojarzenia z planetą Mars (takie są marsjańskie).

Stwierdzenie, że Lublin jest prowincją kulturalną, nie jest ani odkrywaniem Ameryki, ani nie byłoby czymś tragicznym upoważniającym do rozdzierania szat czy wołania na alarm. Na pewno nigdy nie dorównamy Warszawie, Krakowowi czy Poznaniowi. Gorzej jest i to przede wszystkim niepokoi i musi niepokoić, że zamiast jakiegось choćby małego ale stałego rozwoju obserwujemy jeśli nie regres, to w każdym razie zastój. A to ostatecznie równa się cofaniu. W mieście — siedzibie czterech wyższych uczelni musi to stanowić powód do alarmu.

Warto dla ilustracji przytoczyć fakt, że Lublin od wyzwolenia do chwili obecnej nie wzbogacił się ani o jedno miejsce kinowe. Nie wybudowano tu, nawet w okresie „radosnej twórczości inwestycyjnej”, ani jednego kina. Miejsca, które uzyskano w tym okresie, a które w statystykach i sprawozdaniach figurują jako zwiększające stan posiadania, pochodzą z „upychania” kin tam gdzie się tylko dało i nie dało. Efekt: bieda z nędzą, wykańczanie się kin starych i prawdę mówiąc ani jednego przyzwoitego, prawdziwie wielkomiejskiego w mieście bądź co bądź wojewódzkim. Zresztą, na temat zanedbania w dziedzinie inwestycji kulturalnych można spisać tomy.

Ciekawa i chyba pouczająca jest sytuacja w ruchu amatorskim, czy jak kto woli, ochotniczym. Sprawa ta łączy się ściśle z zagadnieniem świetlic czy, modniej mówiąc, klubów. Na ten odcinek skierowany był w swoim cza-

nie najsilniejszy atak, w wielu wypadkach zresztą uzasadniony, a więc słuszny. Niestety dokonano tu dość powszechnej u nas operacji: wylano dziecko wraz z kąpielą. Prawdą chyba bezsporną jest, że niepotrzebnie i nieproduktywnie wydawano na ten cel mnóstwo, „o wiele za mnóstwo” pieniędzy. Prawdą jest, że wiele form tej pracy było niewłaściwych. Godna likwidacji była ogólnie panująca gigantomania, w imię której ambicją każdej szanującej się Rady Zakładowej było konkutowanie z „Mazowszem”. Prawdą jest, że wielu skądinąd wartościowym ludziom wyrządzono krzywdę, kierując ich na gwiazdy lub „działaczy świetlicowych”. Takich i tym podobnych prawd można by przytoczyć znacznie więcej, ale równocześnie trudno zaprzeczyć, że ruch ten miał wiele bezspornych cech dobrych.

Wielkim błędem o nieobliczalnych konsekwencjach i wielką krzywdą dla właściwego rozwoju życia kulturalnego była całkowita negacja ruchu i praktyczne jego unicestwienie. Próżni w takim wypadku być nie może. Zlikwidowaną świetlicę czy rozbity bez pardonu grupę ludzi, uprawiających lepiej czy gorzej jakąś działalność kulturalną, zastąpiła często knajpa, czy zespalenie się w celach krańcowo sprzecznych z pojęciem kultury.

Pod naciskiem skoncentrowanego ataku większość świetlic przekształcono na sale konferencyjne, biura i inne mniej lub więcej potrzebne cele. Jakiś los spotykał cenny często sprzęt i wyposażenie świetlic (instrumenty, kostiumy itd.) trudno często dociec. Większość przedsiębiorstw i zakładów pracy przerwała całkowicie działalność kulturalno-oświatową wśród załóg. Związki Zawodowe, zamiast przystąpić do pracy na nowych, wynikłych z przeanalizowania błędów zasadach, w większości zdezerterowały z tego odcinka. Wyjątek stanowią tutaj jedynie kolejarze lubelscy (Dom Kultury Kolejarza) i FSC. Z drugiej strony chyba całko-

wity brak zainteresowania pracą kulturalno-oświatową w środowisku budowlanym skojarzyć można z „przodownictwem” w pijaństwie w tej branży.

Szerokiej, ciągłej akcji kulturalnej wśród robotników, młodzieży nie zastąpić mniej lub więcej ekskluzywnym klubom inteligentnie, nie załatwia kina, a już najmniej, prawdę powiedziawszy, w obecnych warunkach elitarny teatr. Tu potrzebna szeroka, jak najbardziej atrakcyjna praca ofiarnych i mądrych ludzi i to zagadnienie bodaj w pierwszym rzędzie wymaga takiej negacji, w której nie będzie pozycji dyskusej ale rzetelna troska o to, co nazywamy upowszechnianiem kultury.

Słów kilka chciałbym poświęcić teatrowi, kierując się przede wszystkim chęcią wywołania na ten temat dyskusji. Już w poprzednim fragmencie artykułu użyłem sformułowania „teatr elitarny”. Miałem na myśli nie tylko teatr lubelski. Nie chcę, by zrozumiano to jako zarzut czy oskarżenie. Sądzę, że teatr z prawdziwego zdarzenia, traktujący sam siebie i traktowany jako „świątynia” czy „kuźnica” sztuki, musi chyba być w pewnym sensie elitarny. Z drugiej jednak strony, jako placówka usługowa, musi dbać o wykonanie swoich zobowiązań wobec masowego widza. Powstaje więc konflikt, szczególnie ostry w naszych warunkach, które z jednej strony słusznie akcentują obowiązek teatru wobec najszerszych mas społeczeństwa, a z drugiej — stawiają teatr wobec widza w gruncie rzeczy nieprzygotowanego do percepcji trudniejszych form, nie mówiąc już o nowoczesnych eksperymentach teatralnych. Tajemnica pustych krzeseł na sztukach granych kilkadziesiąt razy tkwi moim zdaniem, między innymi i w tym, że liczba osób chcących czy umiejących trawić podawany im repertuar wraz z pewną liczbą snobów, wystarczy w Lublinie na dwa lub trzy komplety. Publiczność w szerokim pojęciu nie chodzi do teatru, bo czuje się jak na „tureckim kazanu” i prawdę powiedziawszy męczy się na przedstawieniu. Szukając w teatrze najczęściej tylko rozrywki, przeciętny widz, sparzywszy się często na gorącym, dmucha na zimne i nie ryzykuje nawet w wypadku, gdy teatr, ze względów kasowych, decyduje się ustąpić na rzecz gustów masowego widza. Byłem świadkiem zaklinalnia się grupy robotników, którzy zresztą na koszt zakładu pracy obejrzeni „Ostatni rejs”, że więcej do teatru nie pójda, a jeśli się kiedys zdecydują, to najwyżej do operetki. Nie podejmuję się podać jakiejś recepty na pokonanie tej sprzeczności. Sądzę, że wymaga to bardzo wnikliwej dyskusji, opartej na głębokiej analizie zagadnienia. Jedno wydaje mi się pewne. Lawirowanie w polityce repertuarowej jedyne w mieście teatru między elitarną, niekasową rzeczą a kasowym „kawałkiem”, dawany mu ucieśnienie plebsu gestem czarą, nie jest najlepszym wyjściem z impasu. Nad tymi sprawami, mając na uwadze perspektywę rozwoju kultury, warto i trzeba się zastanowić.

Jeśli się nie mylę, to w spożyciu alkoholu mieszkańcy naszego miasta zajmują w Polsce jedno z czołowych miejsc. Jakoś mi się to bardzo kojarzy z faktem zacofania w dziedzinie kultury. Chyba te dwa fakty mają ze sobą jakiś bardzo bliski związek. A tymczasem w natłoku niewątpliwie arcyważnych zagadnień sprawy kultury w naszym mieście znajdują się w pozycji Kopciuszka. Kultura kosztuje, wymaga nakładów, a dochodów dających się określić w walucie nie przynosi. Korzyści, nie dające się wymierzyć żywą gotówką, to z punktu widzenia buchalterii abstrakcja, która na bilans „nie rzutuje”. Tymczasem życie narzuca nam nieubłagane inne bilanse: wzrost alkoholizmu i chuligaństwa, obniżanie się dolnej granicy wieku ludzi objętych tymi klęskami. Zjawiska świadczące chyba o gwałtownym obniżaniu się poziomu kultury.

Uważam, że jak w każdej dziedzinie naszego życia, tak i w dziedzinie kultury nie stać nas na luksusowe przesiewzienia. Zdają sobie sprawę, że obowiązywać tu musi zasada rozsąd-



Zamek — lubelski Dom Kultury (fot. E. Hartwig)

(Dokończenie na str. 11)

POEMAT

ALEPH — oto pierwsza w szeregu litera pisma, które nam ukazało bieg czasów. Przez tę literę, jak przez próg wieczności zawieszona przelewa się strumień istnienia. Zapytajmy kogo, czy wieczność i początek są tym samym?

ALEPH. Alekiję, co znaczy Szkarłatne, taka jest nazwa wioski, gdzie zamieszkał król. W dwóch izbach obszernej chaty, za małymi szybkami, można było zobaczyć samego króla Zygmunta, jego babki starsze od lasu, Annę i Paulinę, dzieci królewskie i parobka, Wasyla.

BETH. Białoruskie morze pieni się całą zimę. W warstwach wody kipiących nad zalazanymi wyspami rośliny morskie miotały się, niby włosy topielic. Babki króla przedając u okienek nieraz widziały te tańce wodorostów i pokazywały je Hubertowi. Lecz chłopiec chory i smutny patrzył ku zatoce obojętnie.

GHIMEL. Gniewnymi ciosami witał topór królewski szczyty drzewa oszronione i twarde. Nie łatwo je było rąbać na opalenie izb, aby Hubert mógł wychodzić z łóżka i przesiadywać przy złotym ogniu. Bo siostrze jego największy móż nie przeszkadzał w wyprawach do lasu. Wracając stamtąd zawsze niezwykle przynosiła nowiny: widziała jędrę, białego jelenia lub słyszała głosy samosiekier.

DALETH. Długą zimę rozjaśniło przedwiośnie. Pewnego dnia na morzu ukazały się błękitne żagle. Tegoż dnia Irena podarowała bratu nowy skarb: ołowianego Chrystusika, którego znalazła wśród zbutwiałych szyszek na pagórku, gdzie śniegi topniały.

HE. — Hiram, Pan Świata przyjechał do nas! — rzekł król patrząc z ganu pod słońce. Bo okręt stanął już w zatoce i widać było jak żeglarze utwierdzają liny na pachołkach przystani. Stał między nimi człowiek w futrze. Zionął prawdziwą wspałością.

WAW. Wiosło srebrne wniesiono przed nim do chaty i zaczęła się rozmowa nielada. — Królu Zygmuncie, zaczął przybyć — słyszałem, że masz córkę piękną.

— Prawda to, panie — odpart ojciec Ireny — urodę dziewczyny widzę nawet ja, rodzic jej.

— Królu Zygmuncie, słyszałem, że urodzaje wasze są słabe i przed-nówek będziecie mieli ciężki...

— Moje wysokie stodoły pełne są ziarna. I nie tylko za ziarno córki mej nie oddam, ale i za większe skarby ziemskie.

— Może oddalibyście ją, królu, za zdrowie pierworodnego?

ZAIN. Zygmunta, król stary, poszedł w góry zostawiając gościa w chacie. Las ronił igły, sycił się słońcem i człowieczą boleścią. Siwa oczy spoglądały ku zatoce i kiściły się z żaglami utkanymi z błękitu: Nie, Nie, Nie...

A przecież wyraz „Nie“ zaczyna się od litery nun, która jest w szeregu dopiero czternastym znakiem.

HETH. Hardy parobek Wasyl kręcił się po izbie, dorzucał drzew na ogień i popatrywał w stronę gościa spod oka. Hiram siedział na ławie jak w letargu. Myślał o płomieniu i władzy. Babki przedły jak zwykle, Hubert kapryśny, pytając nieustannie: Gdzie tato? Wreszcie przyszła Irena, wodna i leśna.

THETH. Taka jesteś? Zdumiał się Pan Świata, bo piękna była i dziecięca. A ona, syjąc po podłozie zwiędłe jagody kalin, zanuciła:

— Śniłeś mi się, żeglarzu!

I zaczęła tańczyć z jednym jedynym złotym listkiem z jesieni.

JOD. Już jest hasto ucieczki: płomień. Opuszczony młyn trzeba podpalić. Stoi on wysoko na górze. Gdy domownicy pobiegną tam, okręt rozwinie żagle. Umkniecie oboje, Ireno i Hiramie, choć ty jeszcze nigdy nie uciekałaś przed nikim. Mewy polecą za okrętem, bo i ktoś więcej?

KAPH. Co krok pokryta się koń króla Zygmunta. Oto tuna obrzeża niebiosa. Oto krzyki ustają nad usnionymi Alekijami.

Noc czerwienią zakrywa gwiazdy. Królu...

LAMED. Lniany strój Huberta bielił się na izbie. Pobiegł ku pożarowi hardy Wasyl, ruszył na wzgórze i babki. Chłopiec rozbudzony, niezdrowy, w okna spogląda, lecz odwraca się od nich słysząc skrzyp dwojga drzwi: w tych w sieni stanął człowiek w futrze, w tych z komory — Irena w świecicach i koralach, z niewodem na ramieniu.

Przepadło, Hubercie, twoje zdrowie nie będzie ceną miłości.

MEM. Maleją żagle. Z brzegu nie słychać, że statek pruje pianę białych grzyw. Na statku nie słyszano, jak plusnął topór Wasyla rzucony z góry za uciekającymi.

O świącie dopała się młyn. Drzewa ronią wonne igły, sycą się dymem i słońcem.

NUN. Na imię mu: Hubert, na nazwisko: Zmarły — powiedziała wróżka, jedzą z lasu, która nieraz dawniej straszyla Irenę. Zdarzyło się to na pagórku przeciwnym owemu z pogorzem. Chłopiec poszedł tam, aby między zbutwiałe szyszki położyć dar siostry, ołowianą figurkę.

Spotkała go wróżka i wyrzekła głośno to, co on sam myślał od wielu już dni.

SAMECH. Stodoły króla Zygmunta stoją puste. Przednówek i głód — to było jedno, jak wieczność i początek. Szum białoruskiego morza, dzwony z dalekiego kościoła, płacz chorego... Nie, to nie mogło pomagać nikomu.

Babki patrzyły w okienka otopiałym wzrokiem, takim samym, jakim patrzył w zimie Hubert. Teraz i one nie widziały włosów topielic pod wodą.

AIN. Antaty piwa, bochny chleba i sterty ziemniaków śniły się po nocach królów świejącemu coraz bardziej. Śniły się królewiczowi białe jelenie i głuchy głos samosiekier.

FE. Firanka u okna wionęła i zatrzepotała, gdy głos z podwórza krzyknął:

— Otwórzcie! Przybywam od Hirama. Pomoc wam przynoszę.

Cisza była w izbie.

— Otwórzcie. Słuszny mój zaraz wniosą toboty z dobrem wszelakim i naczynie z jadem.

Stanął król Zygmunta w oknie i wyrzekł te tylko słowa:

— Kuszone mnie już nie raz...

CADE. Kto słucha pieśni, wie, iż to jest litera osiemnasta i koniec śpiewania niedaleki.

KOPH. Kto słucha pieśni, wie, że koniec na wszystko przychodzi, a królowie nie są spod tego prawa wyłączeni.

Nie wiedząc, co czyni, wziął Zygmunta kosa z ściany w sieni i wyszedł ku lasowi. Za nim szedł ktoś z kosą, lecz niewidzialny. Głodny, ledwie narzędzie swoje trzymający, kosil król nie wiedząc co. Zamachał się ostro i ciągnął stalą po powietrzu. A ono było błękitne, jak niektóre żagle.

REZ. Rzy kulawy koń. Placze Wasyl tak, jak to mężczyźni placzą. Jednego dnia znalazł pana swego pod drzewami na kosie, martwego i Huberta w jasności lnianej odzieży, zmarłego w izbie. Na jednym słońce płonęło czerwone, zachodowe, szkarłatne, aleńkoje. Na drugim krzyż był, krzyż z cienia ramy okiennej.

SZIN. Szumiała pianą przytłymu, gdy Irena wybiegła naprzeciw prababkom.

— Przybywam do was w odwiedziny z kraju złocistego, wiozę wam toboty z dobrem wszelakim, pomoc wam wiozę!

— Czyś nie widziała po drodze białego jelenia? Ani wróżki? I nie słyszałaś...

— Ach, to takie tylko bajki!

— Wiedz, że z pogrzebu wracamy. Wasyl jeszcze tam lamentuje i zawodzi na mogilkach. Czy słyszyś?

— Słyszę — serce upadło w Irenie — słyszę. To jest samosiekiera.

THAW. Tak się kończy gminne śpiewanie o narzeczonym Pana Świata, co go błękitne żagle nosiły po białoruskim morzu i o królach, którzy wymarli w wiosce zwanej Alekiję, co się wyklada: Szkarłatne. Sercom, królom i śpiewakowi spókoj dobry.

THAW. Ostatnia to w szeregu liter odwiecznych. Ostatnia jak liść zapalony przez jesiń i wiszący na drzewie samotnie w złocie swoim czasie zimy, przedwiośnia i wiosny.

(Ateneum, nr 4-5, 1938 r.)

Przed 20 rocznicą śmierci Andrzeja Struga

ROMAN ROSIAK

Bodźcem do wcześniejszego i nieco innego wystąpienia w sprawie Andrzeja Struga stał się dla mnie artykuł p. Czesława Klepackiego pt.: „Z pyłu zapomnienia. Śladami szubaka z Konstantynowa. Z młodoci Andrzeja Struga”. („Kurier Lubelski”, 1957, nr 160, s. 3). Z całą satysfakcją trzeba oddać Redakcji „Kuriera” i autorowi słowa uznania za wkład w dziełoularyzowania, zwłaszcza wśród mieszkańców naszego miasta, tego bezsprzecznie zasługującego na pamięć pisarza. Jednocześnie warto zatrzymać się nad nocześnie warto zatrzymać się nad trzema zagadnieniami z wzmiankowanego artykułu, występującymi w nim, zgodnie z intencją autora, marginesowo: datą śmierci, stanem badań nad Strugiem i stosunkiem Lublina do pisarza.

Czytamy tam m. in., że rocznica śmierci Struga przypada we wrześniu. Jest jednak inaczej, autor „Ludzi podziemnych” zmarł bowiem dokładnie dnia 9 grudnia 1937 roku. Warto może przypomnieć kilka faktów, świadczących o postawie, jaką zajęło społeczeństwo na wieść o zgonie „malarza bohaterstwa polskiego”. Poza blisko 20 artykułami wydrukowanymi w 1937 r., wśród których trzeba wymienić m. in. pracę Jerzego Kaplińskiego zamieszczonego w estońskim miesięczniku literackim „Looming”, pamięć o Strugu znalazła jeszcze pełniejszy wyraz w latach następných. W roku 1938 ukazują się już około 50 artykułów i wspomnień o Strugu, „Wiadomości Literackie” i „Sygnały” poświęcają pisarzowi całe numery, powstają także Komitet Uczczenia Pamięci Andrzeja Struga, stawiający sobie za cel zebranie funduszy na wydanie dzieł pisarza. 13.III. 1938 r. zorganizowana została w Ateneum w Warszawie akademii, którą utworzył T. Arceizewski, składając w imieniu PPS hołd zmarłemu. 26.III. 1938 otwarto w nowym pawilonie Biblioteki Publicznej w Warszawie wystawę poświęconą twórczości Struga. Inicjatorką i projektodawczynią wystawy była Wanda Dąbrowska, wykonałą zaś Poradnia Biblioteczna oraz

sluchaczki szkoły bibliotekarskiej i Akademii Sztuk Pięknych. Materiały, których dostarczyła wdowa po pisarzu, zostały uzupełnione przez wydawców, archiwę i Wojskowe Biuro Historyczne. Bez wątplenia, największą atrakcją wystawy był dział obrazujący technikę twórczości Struga. Pokazana została, przy pomocy licznych planów, wykresów i rękopisów, żmudna praca autora nad „Złotym krzyżem” — od samego pomysłu, poprzez plan, szkice i warianty aż do rękopisu, zmieniającego jeszcze niejednokrotnie wygląd po kolejnych korektach autorskich, by wreszcie wcielić się w książkę. Trzeba podkreślić, że była to pierwsza tego typu wystawa w Polsce i, rzecz jasna, spotkała się z niezwykle żywym zainteresowaniem społeczeństwa, a zwłaszcza pisarzy. Później, po latach przymusowego milczenia, dziesiątą rocznicę śmierci Struga przypomniało prawie 40 artykułów i... teraz czekamy na nową porcję wspomnień i artykułów, które, tak jak to już zrobił „Kurier Lubelski”, oddałyby hołd pisarzowi w 20-lecie jego zgonu.

Dруга sprawa — to stan naszej wiedzy o autorze „Ludzi podziemnych”. Ze nie jest on za bogaty — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wystarczy bowiem powiedzieć, że Gabriel Korbnt w swoim fundamentalnym dziele — „Literaturze polskiej” — wspominając nawet o trzeciorzędnych pisarzach i krytykach, zupełnie zapominał o Strugu. Do dzisiaj nie ma jeszcze chociażby bardzo skromnej monografii, nie mówiąc już o tak „wygórowanych żądaniach”, jak pełne wydanie jego dzieł oraz bibliografia utworów pisarza i pracemu poświęconych. Jedyнным więc niezawodnym źródłem wiedzy o Strugu są,

jak zwykle zresztą, czasopisma. Ponieważ obecnie mam na warsztacie m. in. właśnie bibliografię Struga, chciałbym zasygnalizować tylko przy pomocy kilku liczb i faktów dotychczasowe wyniki badań, które właściwie są już niemal zakończone. Powieści i nowele Struga były do 1957 r. wydawane w całości lub drukowane we fragmentach na łamach czasopism 104 razy, w tym 15 po wojnie. Ponieważ spotyka się często sądy, że przypomniał sobie Struga dopiero po 13 latach, wydając „Złoty krzyż” (m. in. patr. Cz. Klepacki — op. cit.), warto przypomnieć, iż w 1947 r. czasopisma literackie przedrukowały we fragmentach 11 utworów Struga. W tym też roku w Rzymie wydane zostały 2 pozycje książkowe: „Mogli nieznane żołnierza” (wyd. Instytutu Literackiego) oraz „Portret Gałazka jemioły” (wyd. La Rondine).

W 1948 roku nakładem „Wiedzy” zaczęto wydawanie pism pod redakcją Henryka Szypera. Niestety, skończyło się tylko na „Ludziach podziemnych” ze wstępem Pawła Gduli. Dopiero po 8 latach ukazali się wzmiankowany już „Złoty krzyż” (Warszawa, 1956, Czytelnik). Dzieła Struga były przekładane 25 razy, w tym na język rosyjski 14 razy, czeski — 4, niemiecki — 3, włoski — 2, ukraiński i francuski po 1. Opracowań i artykułów dedykowanych pisarzowi ukazało się dotąd 163 (w tym po wojnie — 62), natomiast recenzji jego dzieł — 190 (po wojnie — 8). Tak w skrócie wyglądał piśmiennictwo o Strugu.

Jaki jest wkład do badań nad twórczością autora „Miliardów” lubelskiego świata nauki? Czy rzeczywiście nie pamięta się o nim zupełnie w mieście, które było jego kolebką? Już w 1946 r.

prof. Feliks Araszkiewicz pisze artykuł „Twórczość Andrzeja Struga” („Kultura i Sztuka”, 1946, nr 23). Osobne miejsce należy się tu prof. Pawłowi Gduli, który jeszcze wcześniej, bo w 1937 r. w pracy „Lublin w literaturze współczesnej” (odb. z „Pamiętnika Lubelskiego” — t. III, nakł. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie) poświęcił kilka stron Strugowi. W 10 lat później drukuje cenną rozprawę pt. „Z młodoci Andrzeja Struga” („Zdrój”, 1947, nr 1), w której prostuje m. in. datę i miejsce urodzin pisarza oraz podaje nieznanne fakty z jego młodoci. W tym też roku pisze jeszcze wstęp do „Ludzi podziemnych”. W roku 1949 w „Księdze Pamiętkowej ku uczczeniu 40-lecia pracy naukowej prof. dr. Juliusza Kleinera” ukazała się jego „Andrzeja Struga opowieść o Ludziach podziemnych”. Później, już w latach 1954/56 przygotowuje obszerną rozprawę pt.: „Struga a Dostojewski”, prowadzi dla polonistów w UMCS wykład monograficzny pod tym samym tytułem, pisze artykuł pt. „A. Struga powieści o kapitalizmie” i zaczyna zbierać materiały do bibliografii Struga. Śmierć nie pozwoliła mu na zrealizowanie tych ambitnych zamierzeń, przerywając już na zawsze wszystkie prace. Trudno wreszcie nie wspomnieć artykułu Kazimierza Andrzeja Jaworskiego pt. „Przypomamy Andrzeja Struga” („Kamena”, 1956, nr 5). Autor tego artykułu już w maju ubiegłego roku upominał się o miejsce dla Struga w literaturze, sygnalizując czekającą nas obecnie rocznicę. Myślę, że wymienione prace świadczą o tym, że pamięć o Strugu nie wygasła w naszym środowisku kulturalnym. Dziś, gdy nie stoi na przeszkodzie popularyzowaniu dzieł pisarza, można się spodziewać jeszcze większego wzrostu zainteresowania jego twórczością. I trudno właściwie inaczej zakończyć artykuł, jak tylko apelem do Wydziału Kultury MRN. Związku Literatów i wszystkich instytucji kulturalnych naszego miasta o powołanie do życia komitetu obchodu zbliżającej się 20-letniej rocznicy śmierci Andrzeja Struga.

— Przepraszam uprzejmie. Państwo się dziwiacie. Wiem, że to nieładnie, a nawet niegrzecznie. Chwileczkę zatrzymam. Chciałem mianowicie... ale to jest naprawdę trochę niedorzecznie.

Wieczór jest. A państwo tak idą pod rękę. A wieczorem pachną, jak zaklęte, drzewa. I piosenka, prawda? nuci ktoś piosenkę Niech się pan nie dziwi. Niech pani nie gniewa.

Już wyjaśniam. Doprawdy, magiczny teatrzyk. Takie słówko miałem... Zaraz: wśród? Nie, nie to. Ale pani na mnie jakoś dziwnie patrzy, jakbym był wariatem, a nawet poetą.

Taki mały ekran. Taka scenka mała. A wieczór zaczynał uderzać w klawisze. A czy wieczór pani też zaczarowała? Bo nie skończył grania i za panią przyszedł.

Gwiazdy już siadają na najniższych drzewach, jak cmy wśród gałęzi ciągle latające i wiatr pani włosy jak światło przesiewa. I to wszystko ładne. I to wszystko koncert.

Księżyc jak Beethoven, kiedy nuty pisze, aż gwiazdka ciekawa oczkami strzeliła. Lecz w sprawie formalnej: czy były afisze, że pani będzie tędy przechodziła?

Ja bardzo przepraszam. Już odchodzę sobie. A czy ma pani niebieskie czy piwne? Proszę, dwie latarnie. Zastuchane obie w ten sierpniowy wieczór. Dziwne. Trochę dziwne.



Szukanie

MIROSLAW KOMENDECKI

BUDZĘ się, wypełniony radosnym oczekiwaniem. Przez chwilę usiłuję odnaleźć jego powód. Za oknem ogród, błękitne niebo, rzadkie, białe obłoki, słońce.

Zrywam się i otwieram okno. Do pokoju wpadają zapachy wiosny, głosy ptaków i owadów, poranek — ta sama nadzieja i radość, które mnie zbudziły. Nagle zrozumiałem — dzisiaj Ją spotkam.

Prędko myślę się i ubieram (śniadania nie będę jadł — Ona przecież czeka już na mnie). Wychodzę pośpiesznie. Świat jest piękny, szczęśliwy i niecierpliw. Łagodny podmuch wiatru, przelatujące jaskółki przynaglają mnie do szybszego kroku.

Przede mną zielony, szumiący, ćwierkający park. Nie zastanawiam się ani przez chwilę — Ona musi być w parku. Wchodzę przez jedną z bram i idę główną aleją. Otacza mnie tłum, chaos, zgłęb. Muszę bardzo uważać — zwałniam kroku i rozglądam się. Matki z wózkami, uczennice, żołnierze. Mnóstwo dzieci — biegają, hałasują, grają w piłkę, wpadają pod nogi, płaczą.

Tam, przede mną — (długie, wijące się na plecach czarne loki, smukła sylwetka, zgrabny krok) — prawie biegnę — nie, to nie Ona. Ta idzie z piegowatym, niesympatycznym drybłsem. Jedzą czereśnie, pluja pestkami, śmieją się do siebie. (To nie Ona — Ona ma przecież lepszy gust). Skręcami w boczną cieniistą aleję (Ona nie lubi tłumy) — na ławkach przytulone do siebie, zakochane pary.

Siedział na czwartej ławce. Sama, czyta książkę. Jest bardzo piękna. Wie o tym doskonale, może nawet zbyt do-

brze: nie czyta książki, tylko wystawia siebie — niech podziwiają — z pełnym dumy i wyższości, drwiącym uśmiechem. To nie książka, to lustro. Patrzy na mnie jak na rzecz — to nie Ona.

Ależki są coraz węższe, wikłają się coraz bardziej, robi się duszno. Wychodzę na ulicę. Wspina się pod górę, coraz bardziej pod górę. Naprzeciw mnie pędzą wozy i auta. Zgiełk, tumany kurzu. Naprzeciw mnie, także z góry — idą ludzie. Bardzo wielu ludzi. Trudno mi przecisnąć się, tak pod prąd, samotnie. Bo nikt nie idzie w tę stronę, co ja, wszyscy w przeciwną.

Nie rozumiem, dlaczego tak jest. Czuję przecież, że idę w dobrym kierunku.

Wszyscy się spieszą, potrącają mnie, patrzą drwiąco, śmieją się. Skąd wiedzą, że nie mogę Jej odnaleźć?

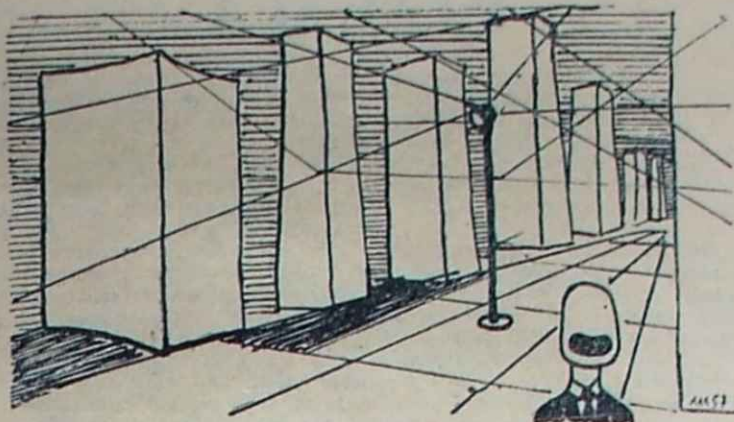
Przyspieszam kroku, mijamy się coraz szybciej, bo oni także idą szybciej. Wtem dobiega do mnie, przez hałas, upał, kurz i zamęt ulicy — Jej głos. Śpiewa coś — tęsknym, wysokim głosem wzywa mnie do siebie. Zaczynam biec. Przechodnie biegną także, ciągle naprzeciw mnie, ale teraz jest ich coraz mniej. Pomimo to niektórzy potrącają mnie, starają się podstawić mi nogę, głośnym rechotem witają każde moje potknięcie. Są jacyś dziwni, jak gdyby niewykończeni, jak gdyby czegoś im brakowało — nie mam czasu zastanawiać się nad tym, muszę biec dalej, tam gdzie jest Ona, skąd słychać Jej głos — omdlewający z tęsknoty, kolorowy i ciepły, obiecujący tak wiele.

Wiem, że gdy będę już przy Niej, nie będę głodny i zmęczony, nie będzie

upału, kurzu i pragnienia, nie będzie nikogo, poza nami dwójkiem. Staram się więc biec jeszcze szybciej.

Nagle ktoś przecinając całą ulicę — biegnie mi drogę i uderza pięścią w

Las obłąkanego żelaza kończy się nagle. Daleko, daleko biegną tylko tory, przecinają się, wymijają, wpełzają pod ziemię, przeskakują jedno nad drugim.



twarz. Padam, podnoszę się oszołomiony, z kamieniem w zaciśniętej ręce. Napastnik już pobiegł dalej, ale ktoś jeszcze biegnie naprzeciw mnie. Teraz ja z kolei zastępuję mu drogę. W tej chwili widzę, czego im wszystkim brakuje — nie mają twarzy, tylko białe maski z szerokimi czerwonymi otworami ust. Moja podniesiona ręka opada, wypuszczając kamień.

Biegnę dalej — to już przecie gdzieś tutaj, — dlaczego Jej nie widać? Ulica rozszerzyła się w mały plac, zupełnie pusty, przykryty płataniną różnej grubości drutów. Wszystkie zbiegają się u słupa w centrum placu. Na nim wiszą głośniki radiowy. To stąd przed chwilą jeszcze dobiegał śpiew. To także nie była Ona. A może to właśnie Ona jest gdzieś daleko? Dlaczego nie mogę Jej tu znaleźć? Muszę Ją odszukać.

Słyszę daleki gwizd lokomotywy. Ona jest na dworcu. Na pewno ma dość miasta, tak jak i ja. Może za chwilę wyjedzie? Muszę znowu biec jak najszybciej, zdążyć na pociąg.

A jeżeli już wyjechała, pojedę następnym. Dogonię Ją. Nie będzie więcej pęcherzy na nogach, zdrętwiałej szczęki, bólu głowy. Nie będzie trzeba czekać, myśleć, nie będzie pustki i samotności.

Ulica się rozszerza i rośnie wwyż. Pod podeszwami rozpalony, szary asfalt, nad nim wysoko białe, drgające od żaru przez sieć drutów niebo. Pomiedzy nimi wysokie, może trzydziestopiętrowe szare graniastopy. Nie wiem, jak są wysokie — nie mają pięter ani okien, są zwarte, twarde, niedostępne, wrogie. Gdyby zaczęły roztopiać się i pochylać, zamknęłyby drogę przede mną. Biegnę więc wciąż szybko. Nikt już nie przeszkadza. Tylko brak oddechu. Jest pusto. Aż do horyzontu. Nie — tam coś jest. Coś zagradza drogę. To jakieś konstrukcje — usiłowki czy kratownice mostu. Bardzo gęste, powyginane i zaplecione. Przeciskam się z trudem — muszę zwolnić. Chwilami wspina się do góry, chwilami pełzną na brzuchu. Nagle w tym chaosie spletanego metalu spostrzegam coś znajomego. To podkłady i szyny kolejowe. To już dworzec. Dlaczego tu taka cisza?

Zrzadka rozrzucone sterczą semaforry, znaki drogowe, barwne sygnaly. Wszystko przykryte kloszem strasznej, szumiącej w uszach ciszy. Nie widać ani jednego człowieka, ani jednego wagonu, ani jednego dymu. Moje stopy, uderzając o podkłady i szyny, wydają stuk, rozchodzący się daleko głośnym, dźwięcznym echem. Echo wraca, zrazu słabe, zwolna rosnące i potęgające się. To nie echo — to zbliża się w szalonym pędzie samotna lokomotywa. Uskakuję jej z drogi. Przelatuje obok mnie z loskotem i gwizdem dartergo w strzepy wyschłego powietrza. Z okienka wychyla się palacz o pomarszczonej, złanej potem twarzy. Woła coś do mnie — słyszę tylko jakby „ej... u... e... a...!”

Już znowu cicho. Lokomotywa jest jeszcze tylko małą kropką na horyzoncie.

Idę już zupełnie powoli. Tory kończą się. Schodzę z usypiska żwiru na rudy, lekko pofalowany piasek. Zrzadka porozrzucane są na nim sterty szarych gruzów. Sterczą z nich zarzewiale, żelazne pręty, fantastycznie poskręcane. Jeden z nich wygląda jak znak zapytania. Omijam go z daleka.

Słońce znika się. Jest teraz krwawo czerwone na tle ciemnofioletowego nieba. Niesamowicie oświetla piaszkowe wzgórza. Wspina się na nie i schodzę znowu. Gdy jestem na szczycie, widzę, że przede mną nie ma już nic więcej tylko takie same, piaszczyste wzgórza. Nie tylko widzę — wiem, że już nic więcej nie ma. Teraz rozumiem, co wołał do mnie palacz. Wiedział, kogo szukam i chciał mi oszczędzić trudu. Wołał: „Jej tu nie ma”. Wiem teraz też, że to prawda. Jej wcale nie ma. Nie ma Jej nigdzie. Nie było Jej. Nigdy i nigdzie Jej nie będzie.

Właściwie dokąd jeszcze idę? Położę się za chwilę na piasku, zamknę oczy. Zaraz przyjdzie do mnie Ona. Usiadzie przy mnie, położy sobie na kolanach moją głowę, będzie mnie gładzić po włosach i szeptać do ucha... Nie, przecież wiem już, że Jej nie ma. Ale to wszystko jedno. Lepiej położyć się, odpoczywać, o niczym nie myśleć, niczego nie chceć. Nie ma sensu wlec się jeszcze. Położę się.

Idę jednak dalej.

ANNA MARKOWA

Inni

Ulica ma pięćset metrów. Może trochę mniej, może trochę więcej. I to się już nazywa — długa ulica.

Idziemy Długą Ulicą — dwoje bardzo osobnych ludzi. Nasze uśmiechy i zmęczenia mijają się jak dwie warstwy chmur. Jedne, ciemniejsze przepływają górą, a tamte, wiotkie i blade rysują się jaśniejszą plamą na ołowianym tle i płyną dołem. Tylko przez chwilę wydaje się, że to jedna nabrzmiała wiatrem chmura. Jedno zmęczenie, jeden uśmiech.

Rozmawiamy, o tak: ty — „Niedługo już będziesz w domu”, ja — „Tak, ta ulica ma dla nas jeszcze piętnaście kroków”. Jasne, że tego zdania nie możesz usłyszeć, bo wypowiedziane brzmi zwyczajnie — „To dobrze. Jestem zmęczona”. Ty — „Bołą cię nogi?” Ja — „Trochę. To bardzo długa ulica. Chciałabym już dość”.

Jest między nami niepisana umowa. Idziemy Długą Ulicą i mówimy zwyczajnie — o domu. A domu nie ma, jest tylko mieszkanie. To przecież nie to samo.

Mijają nas ludzie osobni jak my. Rozdzieleni przez własne cienie na chodniku i czyjś niebaczny ruch ramion. Mówimy o nich — „inni” i jest tak, jakbyśmy kładli ich do oddzielnych przegródek drewnianej szafy na akta. Mogą teraz przepływać obok nas. Mogą przypominać o sobie skrzypleniem butów i niespokojnym szyfrem fruwających rąk. Cóż z tego? Leżą już w naszej szafie, pokrywa ich kurz z Długiej Ulicy. A my idziemy wpatrzeni w naszą maleńką, kalecząca do krwi osobność, jedyną, która się teraz liczy. Nasyjemy się nią tak, że nie odczujemy dnia, kiedy ręce naszych dzieci albo ludzi bardziej obcych — bez wysiłku podniosą nas ze środka Długiej Ulicy i umieszczą w drewnianej szafie z napisem — „inni”.

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

Na Zamojskiej

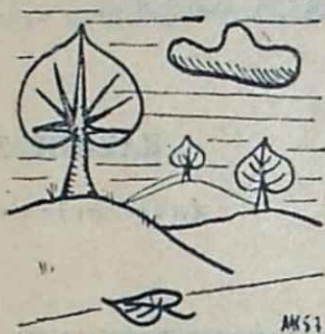
Lipy!
Pod Kościołem Przemienienia
lipy zielone!
Drzewa któreście
jaskrawym ochraniały cieniem
dziecięce moje lata,
wolne jak one,
dziś za kartą.
Szumie!
Pierwszych wynikłych na gałęziach
liści

zielony szumie!
Młoda pieśń lipowa
pod kościołem starym,
cicha wiosenna mowa,
którą tłumią
ulicy zuchwale gwary.
Wiatrem kołysane w szmaragdach
korony

lipy.
Bajko szepkana wśród pojazdów
wzawasy:

za kraty,
po wzgórkach murawie,
biegną ku mnie w trepkach me
dziecięce lata.

Szumie, szumie zielony,
lipy!
„Stare kamienie”, 1934



ANNA MARKOWA

Lublin wieczorem

Ulicami drzemiącego miasta
Ulicami — a każda inna
Za tupotem niespokojnych kroków
Biegnę płosząc echo kapryśne

Rozpryskują się jaskrawe bryzgi
Kiedy wpadam w drżącą plamę światła
Na kwadratach okien różowych
Clybotliwy mój cień zawiśnie

Za drzewami latarniami liśćmi
Można biec w uliczki coraz węższe
Na Podwalu czarodziej Merlin
W seledynie rękę zanurzył

I zwodnicza prowadzi droga
Tam gdzie można w staromiejskie freski
Bez zdziwienia bez słowa wrosnąć
Już u kresu wieczornej podróży



Fresk z Bramy Rybnej

Brama Krakowska

Nocą
W starym sklepieniu Krakowskiej
Bramy
wysoko
świeci lampy elektrycznej księżycowe
oko.

Lęk nieprzytomny
serce szarpie.
Na Boga! nie pójdę tam sama!
Cień tu swój zostawiłam.
Wczoraj? Czy dawno? Nie pomnę.
Wśród groźnej ciszy
wypelza do mnie zza szkarpy,
rozżarzonymi patrzy oczyma
i szeptem. Co mówisz? Nie słyszę.

Rankiem
Z Bramy Krakowskiej ganku
górką, górką,
ponad grodu mury,
mosiężnie, triumfalnie wylatuje
Poranek.

Mdleją struchlałe cienie.
Już skrzydła złotopole
pieszczą głowy siwe kamienic.
O słońce, słońce,
twym ustom gorącym
któż oprzeć się zdola!
„Stare kamienie”, 1934

JÓZEF CZECHOWICZ

Księżyc w Rynku

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyle.
Księżyc po stromym dachu toczy się,
jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perla
upadnie w rynku miskę —
miska zabrzęknie.

W płowej nocy,
po kątach nisz głębokich,
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fioletowy uklęknie.
Gwiazdy żółte, które lipcowy zar ściął
leca — kurzawą — leca,
firmament w złote smugi marszczą,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozplywa
w rosie porannej, w zapachu tiół.

Jak pięknie!
„Stare kamienie”, 1934

HELENA PLATTA

Sień Trybunału

Dzwon w Trybunalskiej sieni —
szczyrbą skażony mroku puchar,
Gazowy płomyk —
ślimaczy wieniec
w progu deszcz pluska,
Wewnątrz: schody obszerne —
trzysta sześćdziesiąt dni biblioteki
na górze drzwi — rozwarte powieki.
Świt gdy zajrzy z ulicy Złotej
będzie to dziecko z książką —
motyl.

Ko cha now ski

Za kręgiem światła, co drgał chyboliwie,
Zaulek ginął w niepowrotnych wiekach —
On stamtąd wyszedł. Przystanął na chwilę...
Dziwny, jak posąg z uśmiechem człowieka.
Staliśmy razem. Potem odszedł wolno,
Brwi chmurnych łuki uniósłszy wspaniale;
Wiatr latarniami kiwał jak pochodnią
I szumiął liśćmi: — Jutro, w Trybunale...

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Noce lubelskie

(fragment poematu)

...Historio, która się tworzysz
skurczami rąk i w krzyku ust wygłodniałych,
wymierzana tanków tętentem
i marszem okutych nóg,
zbliżają się ku miastu semaforów czerwone sygnały
i przebija mrok nocy
krótkich spleć groźny huk.

Słyszymy te głosy przez mgłę
i czkawkę pijackich wzruszeń,
siadamy przy bridżowych stolikach,
tasujemy kolorowe talie —
a za włosy nas szarpie zawzięcie spazmatyczna, srebrzysta muzyka,
zagłuszając dalekie odgłosy zbliżających się szybko mitraljez.

Tetnią słowa czerwonych neonów;
więc:

ul, bagatela, oaza, —
biało ubrane stoliki lechcą oczy podchlebnie i mile,
obok skromnej solniczki pelargonii zakwita wazon,
spoglądają wdzięcznie z bufetu
mikołasch i haberbuschiele.

Więc:

najpierw kilka czystych,
a potem wódka z vermouthem,
kawa ze złotą chartreuse'ą i koniak, i znowu wódka.
Spitym kompanom z ust wylatują befsztyki wyplute
i wszyscy razem przez Lublin płyniemy żałośnie na łódkach.

W cukierniach są inne rzeczy:
ciastka i chłodne napoje,
a w środku słodko panuje olbrzym — bankuchen;
przy słomkach wdzięczą się koblet wytwornych roje
i senny kelner pod ścianą w kurlerek tyka paluchem.

Wiosną jest rewia strojów.

Więc:

ciemno dziergane pończoszki,
kretony, torsady i rypsy, veloury i crepe de chine'y,
czarne woalki na profil, opale i muślin w groszki,
to wszystko, w czym — oprócz perfum —
kochają się młode dziewczyny.

Tak się przewija przed wzrokiem rojne Krakowskie Przedmieście,
długa i wąska gondola, wsparta o mury koszar.
W dniach narodowych świąt wiatr sztandarami szeleści,
wieje płachtami gazet dłoń obdartego gawrosza.

Jest jeszcze Czwartek, Wieniawa, Piaski, Kośminiek,
Podzamcze, gdzie puchną z głodu rude żydźgieta —
dzielnice brudne i ciasne,
tam idąc, codziennie ginę
i skroń przed białą katedrą wpieram na prętach.

W dniach narodowych świąt niebo jest jasne jak flakon,
przeciągają od rana orkiestry dęte,
błyszcza na słońcu księżom tonsury,
mosiężne helmy strażakom
i chodzi z puszkami kilka młodych studentek.

Spłynęła krwią szara ściana,
wzarała się w przestrzeń swym herbem,
przecina mrok aksamitny orzeł i krzyż,
krzyż i orzeł!...

„Rozmowa z ojczyzną”, 1935

Ł z y

Najj. Pana

w

Wiedniu...

Kiedy w ciągu roku 1918 monarchii austriacko-węgierskiej odchodziła coraz bardziej ochota do „wiecznego trwania” (wbrew słowom hymnu państwowego), miałem niespełna 30 lat, szarzę kaprała w pospolitym ruszeniu (Landsturm) i, po przebyciu służby frontowej, przydział do tyłów, do „batalionu zapasowego” 58 pułku piechoty w Lublinie. Batalion mieścił się w dawnych koszarach rosyjskich za miastem u wylotu Krakowskiego Przedmieścia, a składał się prawie wyłącznie z galicyjskich Ukraińców. Najlepszym dowodem rozluźniania się dyscypliny w cesarsko-królewskiej armii był fakt, że w porozumieniu z feldfeblem Polakiem, z którym zaprzyjaźniłem się dzięki wspólnemu zamiłowaniu do skrzypiec, nie spędzałem nocy w okropnym zaduchu koszarowej „cymbry”, tylko spałem uczciwie w wynajętym prywatnym mieszkaniu przy ulicy Foksal, blisko kolejowego dworca. Tyle, że musiałem wstawać bardzo wcześnie, biec do koszar dobrych parę kilometrów i uważać, żeby się gdzie nie nadziać po drodze na dowódcę naszej jednostki, ppułk. Zdzisława Junoszę hr. Załuskiego. Nazwisko i imię arcy polskie, ale właściciel jednego z drugiego nie umiał słowa po naszemu, ponieważ urodził się i wychował na Węgrzech. Wyglądał groźnie. Wysoki, wąs miał niemal wilhelmowski, minę surową i nieubłąganą, przed którą prosty żołnierz kurczył się we dwoje. Dla nieprzyjaciela groźny nie był, na froncie czuł się nieswojo. Za to na terenie naszego batalionu szalał. A żeby utrzymać słabnącą dyscyplinę, stosował barbarzyńskie „Anbinden” i tzw. „szpangi”, choć i to nie pomagało wiele. Olbrzymimi krokami przemierzał kilkakrotnie w ciągu dnia podwórza licznych budynków naszych koszar, doglądał wszystkiego, zaglądał gdzie się dało, wtykał głowę w otwarte okna, weszyl ducha rozkładu, tropił każdą niesubordynację, zapobiegał grożącemu niebezpieczeństwu. Niebezpieczeństwo czaiło się istotnie w mieście, w lubelskich fabrykach. Raz wybuchł groźny strajk. Załuski onjemiał z oburzenia, po prostu zdębiał. Nad miasto wyleciały samoloty, na ulice wyszły dwie „kompanie asystencyjne”, na terenie koszar zarządzono ostre pogotowie. Ponieważ było już po służbie, wieczorem, a mnie razem z moim feldfeblem, jako przydzielonych do kancelarii pułkowej, nie objął bezpośrednio rygor pogotowia, więc najspokojniej w świecie zasiedliśmy obydwaj w którejś z parterowych „cymbry” do skrzypcowego duetu. (Instrumenty i nuty wypożyczyliśmy sobie w mieście). Nie pamiętam cośmy grali, w każdym razie czyniliśmy to con fuoco, gdy wtem posłyszeliśmy straszliwy krzyk: „Idioten”. Obrócić głowę: w otwartym oknie (był gorący sierpień) stał straszliwy Załuski, z oczu leciały mu poruny gniewu, palcem wodził po czole i ryknął jeszcze raz: „Idioten, Dummköpfe, was ist das?”. Nasz beztróski duet był niewątpliwie obrazą dla powagi chwili. Poderwaliśmy się z miejsc i stanęli na baczność ze skrzypcami w rękach. „Idioten”, ale już ciszej posłyszeliśmy jeszcze raz i groźna zjawa, jak

przysła, tak poszła. Zamknęliśmy okno i zaczęliśmy grać dalej.

Nawet prości żołnierze, niemłode zresztą chłopcy, nie brali już wojska całkowicie na serio. Jak mogli, wykręcali się z karbów dyscypliny. Dostawał któryś 3 dni urlopu, to siedział w domu cały tydzień i usprawiedliwiał się potem przy raporcie w sposób prawdziwie rozbijający. Dowódca kompanii nie wiedział wtedy, czy się śmiać, czy karać najsurowiej. Krótkie urlopy dostawało się przez jakiś czas po zadeklarowaniu w batalionie, że przyjechawszy do domu złoży się w najbliższym urzędzie tyle i tyle koron na pożyczkę wojenną. Im wyższa deklaracja, tym dłuższy urlop. Chłopi deklarowali z zapalem, jechali „do chaty”, nie wpłacali centa, a po powrocie usprawiedliwiali się zabawnie z braku dowodu wpłaty. Jeden z nich pobił wszystkie rekordy. Dowódca kompanii, Czech, Szimiczek, pyta go: „Ty buł? (czy był w urzędzie). Ty zapysał?” Żołnierz: „Ja, każe buł, ja buł, w samym sztajeramci” (urzędzie podatkowym). Szimiczek: „No i szczo?” Żołnierz: „Nie chołły braty, pane oberjetnant, Bih me, kazaly, szczo majut dosta aż do samoho kińca wijny”.

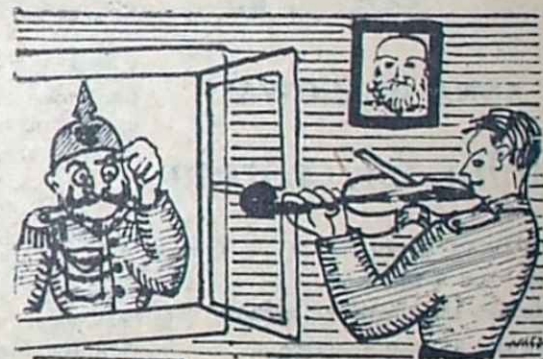
Niżsi oficerowie, prawie wyłącznie rezerwa pochodzenia wiedeńskiego, mieli również wojny dość, tylko nie wyobrażali sobie, że Austria może rozlecieć się w kawalki. Może co najwyżej stracić Galicję, myśleli, a oni wrócą sobie na dawne cywilne posady i żyć będą dalej spokojnie pod okiem dobrotliwego monarchy i jego „mille władającej” małżonki³⁾. Byle tylko „ta głupia heca” (diese dumme Hetze) skończyła się jak najprędzej. Toteż ile razy szli rano do swej kancelarii przez „moje” biuro, tylekroć zaglądali ciekawie do mapy frontu zachodniego, którą przybiłem sobie pluskiewkami do stołu i wstążeczką barwnych chorągiewek znaczyłem postępy ofensywy Focha. Jeżeli któregoś dnia chorągiewki stały na tym samym miejscu co dnia poprzedniego, wtedy miny moich gości przeciągały się melancholijnie, ale kiedy zaczęły znowu posuwać się raźniej na wschód, wówczas szczerze zadowolenie oficerów wyrażane zgola niefrasobliwym śmiechem w obecności mizernego kaprała rosło w miarę postępu alianckich czolgów. „Es geht, Herr Professor” (nazywali mnie profesorem, choć byłem wtedy tylko suplentem gimnazjalnym), „er geht!”, wołali nie krepując się całkiem. Aż ryknęli któregoś dnia gremialnym, sztubackim śmiechem, kiedy przyniosłem pierwszy z miasta i pokazałem im numer „Morgenzeitung”, gdzie wielkimi literami stało „jak byk”, że Bułgaria „puściła” front salonicki i Franchet d’Esperay może już maszerować na Budapeszt.

Ale co znaczy maszyna poruszająca się jeszcze siłą bezwładu i przyzwyczajenia. Każdy „Lubelczyk” wiedział już doskonale, że cesarską Austrię diabl biorą, że dni jej są policzone; i ja to samo wiedziałem pysznie, jak tylko wybiegłem wieczorem z koszar na miasto i rwalem z kopyta na ulicę Foksal. Tymczasem kiedy następnego dnia wracałem znowu do pułku, kiedy widziałem, jak wszystko tam niezmiennym trybem (jak gdyby wojna miała jeszcze trwać w nieskończoność), jak ćwiczy się w dalszym ciągu kompanie szturmowe przeznaczone na front włoski, jak zalałwiała się sprawa urlopów na miesiące wiosenne (!) 1919 r. itd, itd, wtedy trudno mi było zrozumieć, że coś takiego może pęknąć lada chwila. Dość, że miałem w głowie na przemian dwie Austrie: jedną z koszar — nieśmiertelną, cieszącą się wcale krzepkim zdrowiem i drugą z miasta, żałośnie dogorywającą bidusie.

W każdym razie nie spodziewałem się żadnego coup de theatre owego pamiętnego jesiennego dnia, kiedy jak zwykle szedłem rano do koszar. Po dziennikach tłoczyło się już pełno alarmujących wieści, ale im bliżej byłem końca drogi, tym silniej wciągała mnie w siebie koszarowa atmosfera „wiecznego trwania”⁴⁾, dziwna aura jakiegoś innego świata, oderwanego od reszty, który nic sobie nie robi z tego, co poza nim, i żyje na złość wszystkiemu. Przy bramie — nic szczególnego. Stojący na warcie, zaspany serdecznie żołnierz z mojej kompanii przywitał mnie nieartykułowanym pomrukiem; odburknąłem podobnie i niebawem byłem już na korytarzu 1-go piętra, prowadzącym do „mojej” kancelarii. A w korytarzu zaskakująca pustka. Zwykle krecio się tam o tej porze trochę kaprały „ode dnia” feldfeblów i oficerów — dzisiaj nic. Wchodzę do kancelarii. Ani żywej duszy. Cichuteńko. Wyglądam przez okno na „hof”. Niezwykły widok. Cały zapasowy batalion (około 3 tysięcy chłopów) stoi uszykowany w czworobok, a środkiem przechadza się wielkimi krokami olbrzymi, groźny Załuski w towarzystwie drepającego przy nim tłusciutkiego ale naprawdę poczciwego podpułkownika Grabowskiego. Zbiegam na dół, podchodzę ostrożnie z tyłu do mojej kompanii, staję i czekam co będzie. Czuję, że świeci się coś uroczystego. Nie trwało minuty — głośna komenda „Hab acht!” Żołnierze szarnęli nogami i „wyciągnęli się z portek”. Chwilka bogobojnej ciszy. Załuski przystanął, oparł sobie dło-

nie na szabli, potoczył straszliwie oczyma i huknął: „Offiziere und Fährliche (chorążowie), Soldaten”. Wybaluszyliśmy oczy. — „Najjaśniejszy Pan — polecają do nas niemieckie słowa — nie mógł już dłużej znieść lez swoich ludów (Seiner Völker) i postanowił z dobrej i nieprzymuszonej woli (hat beschlossen ohne jeden Zwang) zakończyć długą wojnę...”. Dodał jeszcze parę zdań, ale już nie pamiętam jakich, natomiast w tym, które przytoczyłem, nie odmieniłem jedno o słowa. Rozziewniającą dobrotliwy monarcha (w wojsku nazywano go popularnie „Dummkopf” i „Säufer” tj. głupek i opój). Gdyby chciał, toby jeszcze mógł bić się, ile by dusza zapragnęła, ale on nie chciał, bo jakie nie zapłakał wreszcie nad niedolą poddanych... Batalion wysłuchał krótkiego przemówienia Załuskiego, ale poza oficerami, grupą feldfeblów i garstką takich ichmości jak ja, nikt nie zrozumiał z tego ani słowa. Zdawał sobie z tego sprawę poczciwy pulchnutki ppułk. Grabowski i uznał za stosowne wyjaśnić rzecz bardziej zrozumiałym językiem. Po ukraińsku nie umiał, więc po polsku. Zaczął niesłyszczanym chyba w żadnej regularnej armii zwrotem: „Proszę panów” (Kapitałnie było z tymi „panami”. Wczoraj jeszcze „rekruckie ścierwo” czy „ucho” „śmierdzący (stinkende) mansaft”, których się biło po pysku i męczyło „szpangami”, a dzisiaj nagłe panowie...) Do tej zmiany terminologii przyczyniły się walnie dochodzące z Ukrainy (gdzie stała formacja połowa naszego pułku) wieści, że doszło tam do starć między oficerami i żołnierstwem zakończonych zabicim dwóch majorów. Dodam jeszcze, że pplk. Grabowski miał zwyczaj częstego używania przysłowka „właściwie” i to w niewłaściwych miejscach. Jego przekład oracji Załuskiego wyglądał mniej więcej w ten sposób. „Proszę panów (powiedział to dwukrotnie), pan pułkownik zakomunikował nam, że właściwie wojna się skończyła. Panowie będą mogli wrócić właściwie do domu. Najjaśniejszy Pan żegna was serdecznie na drogę. A żeby zaś wrócić jak najprzyzwoiciej do matek, żon, dzieci, braci i siostr, upoważniam panów, żeby panowie właściwie wyfaso-

KAZIMIERZ
(wspomnienia)



wali z magazynu świeżą bieliznę i nowe mundury. Od siebie życzę Panom dużo właściwie zdrowia i szczęścia”. Żołnierze rozumieli po polsku, ale nie bardzo jeszcze koncypowali, co to wszystko, znaczy. Patrzyli przed siebie tępo, trochę ogłupiali. Na to orkiestra zagrała fortissimo hymn cesarski. Trochę nie we właściwym miejscu, bo powinna to była zrobić po przemówieniu Załuskiego, ale reżyseria całości była w ogóle pod psem. I tak, kiedy przebrzmiały ostatnie tony muzyki, powstała długa, głupia pauza. Nikt nie wiedział, co robić dalej. Załuski stał oparty na szabli jak otumaniony posąg. Grabowski zaś rozglądał się słodziutko po otaczających go wyższych oficerach. Wtedy wyskoczył na środek dowódca kompanii karabinów maszynowych, oberlejtant Rudzki, Ukraińiec. Zaczął w swoim języku płomienną przemowę, że już teraz nie będziemy się bić za Austrię, tylko za Ukrainę i długo, długo perorował na ten temat. A moje chłopcy, jak stały, tak stoją — tyle, że już z postawy na baczność przeszli bez rozkazu na „spoczyn” — patrzą dalej niemrawo przed siebie i nic. Jeszcze nie bardzo wiedzieli, o co chodzi. Zrobiła się znowu nieporadna pauza. Załuski już za nią nie odpowiadał, bo podczas przemówienia Rudzkiego ulotnił się dyskretnie z całym sztabem. I nie wiem, jak długo by tak wszyscy stali, gdyby nie szef kompanii la feldfebel Petro Ciućmac. Nie stracił głowy, stanął przed swoją kompanią, zlekceważwszy porucznika, zakomenderował: „Hab acht! Doppelreien rechts um!” (Baczność! Czwórki w prawo zwrot!) „Kierunek —

Minister Stanu Stanisław Staszic przeprowadził w dniu 1.X.1824 r. wzięcie Lublina. „Stan uporządkowania miasta Lublina dnia 1 października 1824” — to tytuł sprawozdania, które przedstawił Namiesnikowi Józefowi Zajączkowi. Dokument ten, znajdujący się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, udostępniła redakcja „Kamieny” p. Maria Nowacka. Drukujemy z zachowaniem oryginalnej alineaacji, podkreśleń, interpunkcji i pisowni.

(Red.)

Lublin przybiera postać porządnego miasta. Miejsce na wjazd ze strony Zamościa do Lublina jest trafnie wybrane: przez zasypanie dwóch głębokich wańców i przez przecięcie ogrodu i góry na której stoi klasztor i kościół XX Misjonarzy, odkryty został kościół katedralny, wielkie zabudowania prałatów, kapituły wraz z wieżą pośrodku. Te znakomite gmachy kończą zajmujący tego wjazdu widok.

Sam trakt już jest zupełnie ukończony. W miejscach których ten trakt prowadzono przez górę znaczną przez doły głębokie, do których gwałtowny jest zbieg wód z górystych okolicznie ulic miasta; wszystkie roboty są umiejętnie i gruntownie wykonywane; sama droga dwiema burtami z podwójnym odstępem uwarowana. Należy tylko spadającym wodom z ulic nadać tu inny kierunek. Teraz zlewają się do ogrodu łączącego przy samym trakcie, a skupiwszy się pod samą niższą burtą uchodzą do kanału murowanego pod drogą i podrywają darń burtu. Z tego obruszeniem mógłby trakt zostać uszkodzony. Zalecałem więc, aby zaraz nakazano właścicielowi ogrodu, żeby zbieg wodom, przez jego ogród, urządził po drugiej stronie nie przy burtach traktu.

Do zewnętrznego przyozdobienia tego wjazdu należy niezwłocznie uskutecznić następne roboty: przyjeżdżając z tej strony, Lublin ukazuje się w pół okręgu i wystawia wszystkie swoje znaczniki, rozmaite gmachy, wieże i kościoły. W tym półokręgu z prawej strony wpada w oko wielki dom fabryki sukiennej przerobiony z klasztoru z wieżą. Ten gmach należy wybielić i odkryć, aby go nie zastąpiły bliższe nieużyteczne drzewa, oraz wieży nadać inne ukończenie. Przy tym wykazuje się góle zapadłe gliniastej ziemi oberwiska i ściany, potrzeba by te drzewami zasłonić. Dalej następuje w tymże półokręgu wystawiająca się Góra Zamkowa, na której w całej rozległości widzieć nowe wymurwane więzienia. Mówić będę o nich niżej. Tu dla ukończenia widoku więzienia gmachów, należy cały front z tej strony podnieść i zakończyć go, zgodnie z architekturą łączącego się z więzieniem starożytnego kościoła z jedenastego wieku. Widziałem wysokość i myśl tę już oznaczoną w rysunku.

Przy samym trakcie pozostają się dotąd z przeciętej góry ściany góle, na których widać płot z niesformnych desek sklejoną. Tego przy takim odznaczającym się wjeździe żadną miarą dłużej zostawić nie można. Trzeba koniecznie i niezwłocznie przecięć górę i ogród Misjonarzy obmurować, gdyż tych księży zakon, mając seminarium ma obowiązek kłastralności. Obmurować to wynosi kosztu 9.000 złotych. A ponieważ żaden przedsiębiorca po ogłoszeniu publiczności nie chce się podjąć obmurowania tego z warunkiem czekania dwudziestoletniej zapłaty,

przeło poleciłem, aby starano się o przedsiębiorcę, który by całego obmurowania podjął się i ukończył przed zimą pod warunkiem, że w roku 1828 zapłacony będzie. To obmurowanie ma być tak uskutecznione, aby z drogi głównej porządkowej szczyt kościoła mógł być zupełnie widziany i leżący przed nim plac cały odkryty. Oświadczył mi Prezes, iż pod tym warunkiem przedsiębiorca znajdzie się pewnie. Raczy J. O. Księżę Namiesnik stosowną wydać decyzję. Takie uzupełnienie porządku tego traktu jest ściśle związane z drogą bitą i nie z innego jak z funduszu drogowego dopełnione być powinno. Rok zaś 27 i 28 jeszcze nie są awansami zajęte, więc znaleźć się ta mała kwota. To zaś dokonane być powinno tego roku. Niemożna bowiem terażniejszego nieporządku dłużej odkładać.

Przy tymże trakcie znajdujący się dom dobroczyńności poleciłem odnowić i od frontu kolumnami przyozdobić.

Kuźnia i brzydki dom kowalski dłużej także stać nie mogą. Poleciłem

się przynajmniej przez trzy lata wyznaczyć pierwszy fundusz na pożyczkę.

Tym czasem zniósłem się z Prezesem, aby błonie leżące między żydowskim miastem i traktem ogrodzić z strony Żydów parkanem z tarcie któryby tę brzydotę osłonił. Parkan obsadzić gęstym szpalerem; błonie całe uplanować zasadzić drzewami, a rzeki Winiawki środkiem płynącej brzozi spadziste udarniować. Wyrachowany na to koszt wynosi około siedmiu tysięcy. Na to z funduszu miejskich możnaby przez dwa lata po trzy tysiące użyć. To małe ujęcie nieby tamowało innych robót na które to fundusze są przeznaczone. Prezes chętnie się do tego przychylił i uskutecznić obiecuje. Potrzeba tylko decyzji Waszej Księżęcej Mci.

Na tymże trakcie przy samym wjeździe w miasto, znajdują się po prawej stronie wielkie rozwaliska murów. Jest to własność rewiwora Dobka. Te ruiny żadną miarą tak tu zostać nie mogą. Trzeba albo właściciela przymusić, aby podług wskazanego mu

STASZIC O LUBLINIE

więc, aby natychmiast był ołaksowany, a jeżeli właściciel na tym nie przesztanie, podać go do wywłaszczenia zaraz, aby jeszcze przed zimą ten brudny kąć oczyszczony został.

Wieża w środku pomiejszkań katedralnych już jest na dwie kondygnacje podniesiona; będzie więc równa się wieżom kościelnym. Mnie zdaje się, iż trzeba ją jeszcze o jedną kondygnację podnieść, aby jak swoją ogromnością i wysokością przechodziła katedry wieże. Uważałem także, że nie zachowany w niej jednak rodzaj architektury; brama u góry jest w stylu gotyckim, okna jedno podług porządku architektury tegoczesnej, a drugie są gotyckie; zakończenie zaś znowu nowoczesne. Wziąłem kopię rysunku. Rozmówiłem się w tej mierze z architektem Corazzi. Wieża ta niezawodnie przed zimą ukończona będzie.

Przy trakcie lubartowskim zastałem wiele fur zwożących materyjały i kilkadziesiąt arezstantów pracujących. Wjazd ten co do drogi jest bliski ukończenia; znajduje się na nim dostatek kamieni, gruzu i znaczna część żwiru; most na arkadach gruntownie zbudowany zupełnie skończony i pokryty; zastałem złożone na nim kraty żelazne, które na tych dniach postawione będą. Trakt ten niezawodnie skońcem listopada skończył Prezes przyrzeka.

Przy tym trakcie w bliskości leży i najwięcej w oczy wpada miasto żydowskie, widowisko szkaradne, bo wystawia brudne zwaliska starych drewnianych i już po części rujnujących się samych kuczów żydowskich. Trzeba to albo zwalić albo przynajmniej ukryć. W tym zamiarze poleciłem, aby jak najściślej do skutku był doprowadzony zakaz wszelkiej reperacji i aby zagnać do murowania się. Jeżeli być może, należałoby dla ułatwienia murującym

planu murować się, albo te ruiny z placem sprzedać. A ponieważ miasto Lublin niema ratusza, nie ma domu dla municypalności i dla głównego odwachu, najprzyswoiciej te rozwaliny i plac w tym miejscu na wymurowanie ratusza przeznaczyłby należało. Po skończeniu w tym roku Domu Komisji Wojewódzkiej, cały fundusz miejski na ten przedmiot najprzyswoiciej wypadłoby użyć.

Dom Komisji Wojewódzkiej znalazłem zewnątrz całkiem ukończony. Wewnątrz już porobione wszystkie schody, podszadki, sufity, drzwi i części pieców; zostaje się tylko reszta pieców, okna i wybielenia. A ponieważ piece są gotowe tylko potrzeba je postawić, okna oszlone tylko osadzić, więc niezawodnie w miesiącu grudniu Komisja Wojewódzka przeniesie się do tego gmachu.

Przed tym domem znajduje się obszerny plac, który bardzo łatwo da się upiększyć. Już część jedna do tego dosyć stosownie jest przez Prezesa przygotowana, przez odnowienie naprzeciw kościoła kapucyńskiego, klasztoru i całej rozległości murów jednego. Sam plac zaś w środku dotąd jest nieforemnie urządzony; trzeba koniecznie go najprzód splanować i weale w innym kształcie zasadzić. Trzeba rozrzuścić tę stojącą w środku kapliczkę jakby do obchodzenia stacyi a pamiętnie Unii miejsce oznaczyć jakim godnym pomnikiem, kolumną lub piramidą.

U Wizełek stajnie wojskowe na sto osiemdziesiąt koni już są wymurwane i do połowy obrzucone wapnem. Dach już przygotowany i złożony widziałem na ziemi; w tym tygodniu stawiać go będą. Mówiłem z przedsiębiorcą, który zaręczyl, że stajnie zupełnie ukończone będą najdalej za niedziel sześć; więc z końcem listopada konie żołnierskie do

tej stajni wprowadzone być mogą. A ponieważ około tegoż czasu Komisja Wojewódzka będzie się przeprowadzać do nowego domu, a urząd sądowy z swego terażniejszego lokalu przeniosą się do ratusza wśród rynku. Więc i lazaret wojskowy będzie się mógł jeszcze przed zimą z klasztoru Wizełek przeprowadzić do lokalu pozostałego po sądach.

Na placu przedtym ostatnim lokalem znajdują się stare, drewniane wozownie i stajnie. Poleciłem, aby te drewniane szopy przed sprrowadzeniem się tu lazaretu były rozrzucone, albo przez właścicieli kształtnie wymurwane. I tu może być urządzony plac bardzo porządny.

Więzienie na zamkowej górze ma już wszystkie mury pod dach wykończone. Drzewo na dach wszystkie jest zniezione i w większej części przez cieńsów jest obrobione. Więc do ukończenia tego gmachu potrzeba tylko dach postawić, pokryć go i mur frontowy jeszcze na dziesięć łokci podnieść; dla wyrównania go z murem kościoła, z którym się styka. To przed zimą ukończone pewnie być może i Prezes zaręcza.

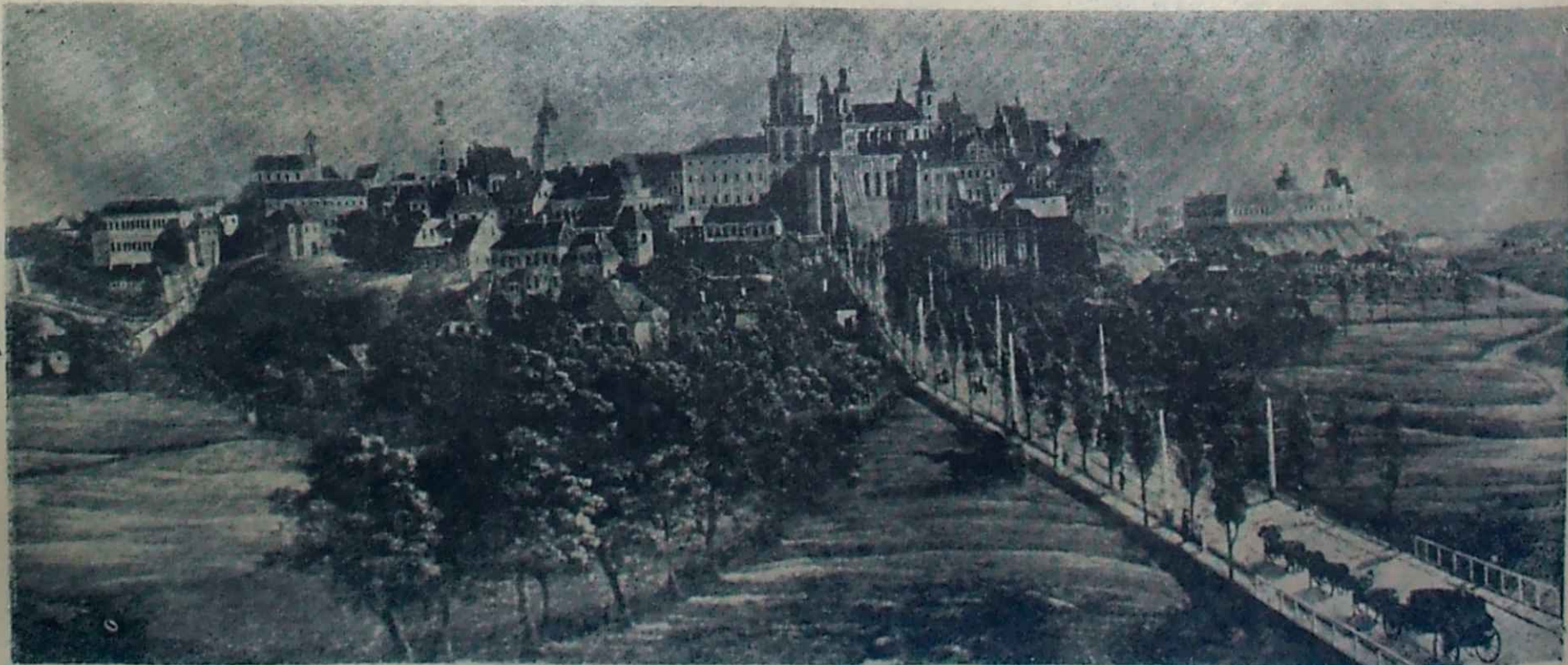
Pozostają się na tej górze dwie rzeczy: pierwsza: splanowanie powierzchni góry, gdyż znajdują się na niej od wieków zwalone kupy z różnych rozwalin ruin, cegieł, kamieni, gnoju, piasku. Drugie: urządzenie na tę wysokość wjazdu. W tym zamiarze, po rozważeniu tego miejsca z różnych stron, zniósłem się Prezesem, aby jak najprędzej zaczął robić plan sytuacyjny tej całej góry, z oznaczeniem miejsc najłatwiejszych do zrobienia wjazdu. Jeden wjazd oznaczy na planie i wyrachuje koszt, prowadzony przez tę uliczkę gdzie się teraz wchodzi. Drugi wjazd oznaczy na planie z wyrachowaniem kosztu, urządzenia od drogi lubartowskiej przez żydowskie miasto. Zaraz przy mnie zajął się tą robotą inżynier miejscowy. Ja w tymże przedmieściu jeszcze rozmówię się tu z p. Dyrektorem Christianem, a skoro plany i kosztorysy mieć będziemy, przedstawimy do decyzji Waszej Ks. Mci, który z tych dwóch wjazdów wybierze.

Tu winniem oddać sprawiedliwość usilnemu staraniu i gorliwości Prezesa około tych wszystkich ich rozmaitych przedmiotów. Przyjechaawszy zastałem go przy robotach. Wywiadałem się na miejscu, że codziennie dwa razy z rana i po południu objeżdża i obchodzi wszystkie murujące się tu gmachy i trakty.

Zwidziłem także trakt bity z Kurowa do Końskiej Woli. Znalazłem go w dobrym stanie, ale nie ma na nim zapasów do których się przedsiębiorca obowiązwał.

Na drodze bitej robiącej się teraz od Końskiej Woli do Puław, zastałem robotników i podwozy zwożące material. Ten nie ze wszystkim znalazłem dobry. Zamiast żwiru wożono piasek mało co w sobie zawierający żwirowych kamyczków. Upomniałem zaraz o to dozorcę i wezwałem Dyrektora Dróg, aby rzecz sprawdziła i przymusiła przedsiębiorcę do poprawy zleego.

STASZIC



Wjazd księcia Zajączka do Lublina — wg obrazu Filipa Dąbka z roku 1826 (fo. E. Hartwig)

STEFAN ZARĘBSKI

Pieśń o hazardzie

Karty na stół! O szansę!
Radość upija jak rum...
Uwaga! W tym preferansie
Po jednym życiu punkt!

Przegrałeś bracie — bulić!
Nie żart — panowie — to gra:
Kto czuje, że nie zgra puli —
Prędzej niech mówi „pas“.

Na renons losy zdane!
Nalóg już uwiódł nas grą:
Wiadomo — tego wygrana
Przy kim ostatni tromf!

Nim kolej nam na wpadkę —
Dość jeszcze nabierzem lew...
Grać, byle grać do ostatka!
Kto wyżej? Piki! Trefli!

A gdy już brakło atu —
To razem z wezbranych serc
Krzyknęli szaleni świata:
„Na ciemno! Totus w kier!“

IGNACY IGONŃ

Odejscie

Pamięci Brata

Oto twe życie:
gałąz nad wody kipielą —
samotna przepaść.

Fale uderzą o przycięs
i nim cię od nas oddalą,
jakaś okazja ślepa
poda ci rękę — powracaj...
Lecz ty już krążyysz w szkle bryzgów...
Jeszcze głowa — zwęglona raca —
w księżycą tęczowych ślizgach.

Nagle:

wicher od boru mgły żagiel wydyra,
kruszy się glina żółtych brzegów,
płonie żywiczna pochodnia sosen
i krok olbrzyma
wszechświatów bieg odmierza,
przynagla w biegu.

Odchodzisz za granicę czasu
w kraj bezgłosu.

JAN STEFANIAK

Księżyc nad Wyhalewem

hałasują świerszcze
kosmatą nóżką
trąc o swoje biodra
Księżyc — stary rekwiwizyt
Teatru Obłoków i Ziemi
promień jak linę rozpiął
między rogami gwiazd
cyrkowym krokiem
odmierza równowagę

Postój jeszcze Księżycu
nad moją strzechą
lecz nie płoń wróbl
fruujących w sen
swą
elektryczną
latarką

zaczarowani ludzie
noszą długie brody
idą wilgotną olszyną
wytrzępując noc
z podróżnych sakw

Postój jeszcze Księżycu
Przeszedłeś większą część promienia
nim spadniesz za arenę ziemi
i przyśniesz o horyzont
czarodziejskim zwierciadłem
pobaw moją
maleńką Ale
niech usnę
nie widząc twojej śmierci!

Wywiad

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

LOPE FELIX DE VEGA CARPIO: Oto jestem, senior, pozdrawiam was pięknie. Owszem, możemy sobie pogwarzyć, skoro tego chcecie. A czy wolno zapytać, skądżeście przybyli?

PAN KOMPETENTNY: Z daleka, mistrzu, z Polonii — z Polski Ludowej.

LOPE: Ludowej... Cóż za radosne musi być życie w waszym kraju!

PAN NIEKOMPETENTNY (na stronie): Nie zawsze. LOPE: Moją kwitnącą niegdyś ojczyznę zniszczyli Habsburgowie. Zwłaszcza ten ponurak Filip drugi — swoim fanatyzmem. Akt wygnania potomków Maurów spowodował wstrzymanie wielu fabryk, skurczenie handlu i niebezpieczny kryzys w gospodarce rolnej...

KOMPETENTNY: Wiem, wasi królowie byli rasistami.

LOPE: Tak nazywacie tę odmianę głupoty? Powiedziałem: głupoty, bo czyż nie jest głupotą wręcz bydlęcą żywienie pogardy dla jakiegoś człowieka za to, że zrodził się z innego niż twój narodu bądź stanu?... Zawsze marzyłem o doskonałym królu, który byłby sprawiedliwy wobec wszystkich swoich poddanych. Ale niestety... A wy, czy dobrego macie króla?

KOMPETENTNY: Nie mamy króla, u nas rządzi lud.

NIEKOMPETENTNY: Tak, nasze zasady... LOPE: Sam lud! To coś nowego. Kto wie, to może być dobre. Wierzę w zalety moralne ludu, dałem tego dowód...

KOMPETENTNY: Wiem, w „Owczym źródle“.

LOPE: Tam pokazałem dzielną walkę chłopów z nadużyciami możnych panów. Ale czyż tylko „Fuenteovejuna“? Wiele innych moich utworów... Zresztą nie będę ich wyliznął, bo nie o tytuły chodzi... Istotnie kochałem lud całym sercem, tym milęj więc mi rozmawiać z wami, przyjaciele.

KOMPETENTNY: My... my nie jesteśmy z ludu.

LOPE: Jakoż to? Z ludowego kraju i nie z ludu?

KOMPETENTNY: Jesteśmy z inteligencji.

LOPE: Znam to słowo, lecz jaki mu sens nadajecie?

KOMPETENTNY: Należymy do warstwy oświeconej. LOPE: Oświeconej? Cóż z tego, panowie? Ja też miałem niezgorsze wykształcenie, pobierałem nauki w collegium ojców teatynów, potem na uniwersytecie w Alcalá i w królewskiej akademii nauk matematycznych, mimo to nie zapomniałem, że rodzice moi byli chłopami asturyjskimi... Wprawdzie ojciec, dorobiwszy się na zacnym rzemiośle ładnego majątku, nabył patent szlachecki, ale nie uważałem siebie przeto za wyodrębnionego z ludu... Lecz może wy jesteście z tłumu tych pyśzałkowatych hidalgos, gołych jak mysz kościelna, którzy zadzierają nos nad głowę, dumni niepomnie ze swego zmurzłego szlachectwa?

NIEKOMPETENTNY: Nie, mistrzu, nie jesteśmy szlachcicami. W naszym kraju hidalgowie nie mają już głosu.

LOPE: Zamożnymi kupcami też chyba nie jesteście, bo — wybaczcie — szaty wasze nie są zbyt okazałe.

KOMPETENTNY: Nie jesteśmy kupcami, skąd znowu! Występowałem nieraz przeciwko kupcom na zebraniach i w artykułach.

LOPE: Skoro tedy nie macie ani przesądów rodowych, ani nadmiernego bogactwa, cóż może was dzielić od ludu?

KOMPETENTNY: Gusta. Lud nie zna się na prawdziwym artyzmie, jest za mało oświecony.

LOPE: Dla kogo więc piszecie wasze sztuki?

KOMPETENTNY: Ja nie piszę sztuk, jestem krytykiem.

LOPE: Ale inni?

KOMPETENTNY: Inni próbowali pisać dla ludu na etapie... przed październikiem... no słowem nie tak dawno. Ale im nie wyszło.

LOPE: I co?

KOMPETENTNY: Obecnie eksperymentują.

LOPE: Jak to?

KOMPETENTNY: Teraz uczą się na awangardowych wzorach francuskich i amerykańskich. Zeby stworzyć nowy teatr.

LOPE: Stworzyć nowy teatr — to rozumiem. Ja sam swego czasu napisałem traktat poetycki „Arte nuevo de hacer comedias en este tiempo...“

KOMPETENTNY: Wiem — o nowej sztuce dramatycznej. Rok tysiąc sześćset dziewięć. Ale tam, mistrzu drogi, mówię o tak elementarnych rzeczach, jak potrzeba odrzucenia klasycznych jedności miejsca i czasu z zachowaniem jedności akcji...

LOPE: Nie były wtedy elementarne.

KOMPETENTNY: Naszym współczesnym dramaturgom chodzi o coś innego...

LOPE: O coś mianowicie?

KOMPETENTNY: O nowoczesność.

LOPE: Mnie też chodziło o nowoczesność.

KOMPETENTNY: Tamta nowoczesność jest już przestarzała.

LOPE: Więc o jaką nowoczesność im chodzi?

KOMPETENTNY: Tego właśnie dopiero szukają.

LOPE: Wieleż napisali komedii!

KOMPETENTNY: Raczej mało.

LOPE: Mniemam tedy, że za dużo rozprawiają. Powiedz im ode mnie — niech lepiej zużytkują swój czas na tworzenie dzieł przydatnych narodowi... A ty, senior krytyku, o czymże piszesz, skoro nie masz materiałów do krytyki?

KOMPETENTNY: O, materiałów do krytyki jest pod dostatkiem! No i piszę też o tym, jak tamci powinni pisać.

LOPE: Pozostaw to im samym, przyjacielu. Nic nowego za nich nie wymyślisz. Bo gdybyś mógł wymyślić, może być właśnie napisal dobrą sztukę.

NIEKOMPETENTNY (po chwili milczenia): A jaka, twoim zdaniem mistrzu, powinna być dobra sztuka?

LOPE: Jaka? To się widzi w robocie. Na to nie ma recepty... Ale między innymi należy — jak wiem z doświadczenia — idąc za przykładem natury łączyć elementy tragiczne i komiczne, gdyż rozmałość taka podoba się bardzo publiczności, a skoro publiczność płaci, trzeba stosować się do jej gustów...

KOMPETENTNY: Pięknie przepraszam! Gdybyśmy się stosowali do gustów szerokiego mas, poziom naszego teatru byłby opłakany. Powiedziałem już, masy nie mają wyrobionego smaku artystycznego.

LOPE: A co robicie, żeby go wyrobić?

KOMPETENTNY: No... są świetlice, domy kultury...

NIEKOMPETENTNY: Mówi się dużo o ich ulepszeniu.

LOPE: Tak czy inaczej uważam, że trzeba tworzyć sztukę dostępną zrozumieniu każdego...

NIEKOMPETENTNY: ...przynajmniej wielu.

LOPE: Tak, i dlatego walczyłem zaciekle z gongoryzmem... Czy wiecie, co to jest?

KOMPETENTNY (szybko): Dziwaczny, zbytnio wyszukany język „kultystów“, który się szerzył w tamtej epoce.

LOPE: Sądzę, że w żadnej epoce nie zabraknie takich szkodników jak Ludwik Gongora... (Uśmiechając się figlarnie): Wiecie, skomponowałem kiedyś sonetnik w tym modnym żargonie literackim, dodając do niego taki krótki dialog: „Czy rozumiesz, Fabio, co do ciebie mówię? — No, oczywiście! — Łiesz, Fabio, bo przecież ja ci to powiedziałem, a ja sam nie rozumiem!“... Ale widzę po waszych minach, panowie, że nie bardzo was przekonałem. Zwłaszcza ty, senior krytyku, patrzysz wilkiem.

KOMPETENTNY: No nie... Przyznam się jednak, że...

LOPE: Nie mam do ciebie urazy, przyjacielu, bo co kraj, co czas — to obyczaj. Tuszę sobie wszakże, iż nie będziecie żalowali chwil poświęconych na rozmowę ze starym Lope?

KOMPETENTNY (niedbale): O, my dość często organizujemy wywiady z nieboszczykami. Nie tak dawno temu w „Dialogu“ — to nasz czolowy miesięcznik teatralny — urządzono dyskusję z Szekspirem, Stendhalem, Diderotem...

LOPE: Któż z nimi dyskutował?

KOMPETENTNY: Jan Kott.

LOPE: I dałże im radę?

KOMPETENTNY: Ho, ho! Niejednego się nauczyli od Kotta.

LOPE: W każdym bądź razie dziękuję wam i wszystkim dyrektorom teatrów za to, że nie pozwalacie mi zemrzeć w bibliotece.

KOMPETENTNY (oficjalnie): Jesteś pan uznany za przedstawiciela obcej klasyki, a więc komedie twoje nam się nadają.

NIEKOMPETENTNY (chcąc wnieść miły nastrój do pożegnania): Mistrzu, nie jestem krytykiem, ale coś niecoś widziałem i czytałem. Otóż, nawiązując jeszcze do potraconej przez nas sprawy komunikatywności dzieł sztuki, czy też odosobnienia artysty, chciałem ci powiedzieć, że wyczytałem w nadesłanej nam niedawno z zagranicy książeczce Tymona Terleckiego pt. „Krytyka personalistyczna“ rzecz, która musi cię do pewnego stopnia zadowolić — choć na ogół poglądy tego polskiego pisarza różnią się znacznie od twoich... Mówi mianowicie autor tej rozprawki, że sztuka jest wezwaniem idącym od osoby ludzkiej..., że artysta chwieje się jak wahadło między samotnością a wspólnotą, bez której nie może się w pełni urzeczywistnić, bez której właściwie nie może istnieć...



Maria Behczyc-Rudnicka

została laureatką tegorocznej nagrody literackiej Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie

25-lecie twórczości Władysława Filipiaka

JEREMI KRÓLIKOWSKI

PRZEGLĄDAM prace wybrane na wystawę — pogłówna historia dwudziestopięcioletnia twórczości Filipiaka: od „Portretu na czerwonym tle” — oficjalnego aktu narodzin artysty w „Pałacu Sztuki” w Krakowie, do ostatniego obrazu — „Autoportretu”. Przed oczyma przesuwają się emocjonujący film kolorowy. Artysta ma dużo prac; z całego widać, że najbardziej interesuje go człowiek; ulubionym tematem jego płócien jest postać kobieca. Obrazy, które powstały do 1939 roku, a nawet w okresie okupacji, są wynikiem jego skłonności do malarstwa stałogowego w atelier. Między pierwszymi jego pracami, a tymi z lat 1940—1945 widać pewną różnicę: w „Portrecie na czerwonym tle” kolory są jeszcze dosyć ubogie, w innych czuje się nie tyle brak wyrobienia, ile powszechny temperament. W „Akcje leżącym” z 1944 r. kolor nabiera mocy, walor jego wzmacnia się, paleta bogaci się, touche pędzla staje się płynny i szeroki. „Akt stojący” świadczy o zdolności artysty do oddawania materii i brylowości. W „Półportrecie” natomiast przeniósł on uwagę na rysunek, w „Portrecie” już coraz wyraźniej widać rozmach, dynamikę, pewny siebie ruch ręki, spontaniczność, erupcyjność. Ta ostatnia cecha wyraźnie dominuje nad innymi. „Dzieci”, „W kuchni”, „Pejzaż” zostały zakupione przez państwo. Twórcze z wielu względów nowe myśli i podniety zachęcały go do namalowania „Prasowaczek” i „Pracek”. W tym okresie powstały też obrazy: „Chłopiec z kanarkami”, „Dwa akty”, „Wnętrze”, „Modelka”, „Portret córki”, „Widok z okna”, „Ranna toaleta”, a w czasie spędzonym na Wybrzeżu seria morskich pejzaży, po czym artysta przeszedł do martwych natur „z rybami”, które do pewnego stopnia kończą jeden okres a zaczynają następny. Jeśli dotychczas Filipiak ulegał wpływom dawnego środowiska krakowskiego, to odtąd jednak pod wpływem nowych prądów, własnego doświadczenia, coraz szerszych kontaktów, nastąpiła u niego ewolucja i zrywanie z dotychczasowym

niej uwydatnił autor w „Poranku”, który dzisiaj jest symboliczny w znaczeniu ścisłym i szerszym, ogólnym. Choć inne elementy sztuki Filipiaka pozostają na ogół bez większych zmian, ważne jednak jest użycie w tym właśnie „Poranku” kolorów nie tylko ciepłych ale i „gorących”. Obraz ten razem z „Ranną toaletą” jest ważnym osiągnięciem i stanowi przełom w twórczości artysty.

Krótki, turystyczny pobyt w Holandii, którego znaczenie da się odczuć dopiero z czasem, uczynił na Filipiaku wielkie wrażenie. Sztuka holenderska mająca wielowiekowe tradycje i światową sławę nie tylko ze względu na ilość dzieł sztuki, ale przede wszystkim ze względu na ich jakość, jest dla artysty wstrząsem psychicznym, rewelacją. A zarazem z wysokiej klasy zapleczem materialnym i kulturalnym mieszkańców pokazuje nowy świat, który może twórczo podzielić na wyobraźnię. Jako pamiątkę z wycieczki Filipiak przywiózł kilkanaście akwarel. Pod wpływem tejże niderlandzkiej sztuki, ale ostatniej doby, Filipiak urozmaicił swój warsztat stosując naszym interpretowany indywidualnie („Amsterdam”). Artysta zaczął, po prostu, inaczej patrzeć. I nie tylko to: zobaczył kolor nowych bodźców a podnieść przyjął w postaci barwy czystej. Obrazy tego okresu różnią się od poprzednich, szczególnie od obrazów tego okresu, w którym artysta używał palety raczej przyciszonej. Teraz natomiast wybucha u niego kolor z niespotykaną dotąd siłą. Nawet obrazy nowoczesne, abstrakcyjne, których treścią jest „Macierzyństwo”, dają świeże spojrzenie w czystszej i pełniejszej gamie kolorów. Artysta wyszedł z założenia, że rysunek pomaga malarstwu, uzupełnia kompozycję barwą, a nie odwrotnie, że architektura obrazu ma służyć pełniejszemu wyrażeniu się twórcy w sztuce malarskiej.

W ten sposób, od okresu szkoły, od pierwszych prac na ogół s'abszych (u

bepośrednie, intensywne widzenie natury przypomina nieraz sposób patrzenia Van Gogha. Rozszerza jednocześnie gamę swoich zainteresowań: maluje akty, sceny figuralne, martwe natury, sceny batalistyczne, portrety; maluje olejno, akwarelą; stosuje różne formy grafiki, nawet przez pewien czas rzeźbił w drzewie. Ostatnio, podchwytyjąc reminiscencje dawnych form kubistycznych, tworzy „kompozycje” i w ten sposób wzbogaca swoje możliwości i potwierdza wszechstronność zainteresowań, żywość umysłu, umiejętność wykorzystywania zdobyczy naukowych w swojej sztuce, wypracowanej w warunkach nie zawsze lekkich, jak to bywa u ludzi z talentem i z charakterem.

Choć nasze tradycje nie są ubogie, w sztuce od Francuzów można nauczyć się wiele. Skonfrontowanie dorobku własnej sztuki z obcą, przy własnym zdrowym krytycznym patrzniu, z całą pewnością przyniesie artystę wiele korzyści.

Mimo że pierwszy okres jego działalności malarskiej nie zapowiada się tak świetnie, Filipiak nie zraził się przeszkodami, pracował nad sobą, nie porzucił Lublina, nie przerzucał się z miejsca na miejsce, nie gonił za dobrobytem, miał na widoku jedynie sztukę i żył tylko dla niej. Talentem i pracą wymusił uznanie dla siebie.



Władysław Filipiak: „Lublin — Stare Miasto”, rok 1956 (fot. J. Urbanowicz)

Lubi i opóźnienie w rozszerzaniu horyzontów praktyczną znajomością wielkiej, wyrafinowanej ale też i genialnej sztuki mistrzów europejskich uzupełnia teraz artysta wyjazdami za granicę (w najbliższej przyszłości do Francji, ojczyzny Cézanne'a).

Lubi i opóźnienie w rozszerzaniu horyzontów praktyczną znajomością wielkiej, wyrafinowanej ale też i genialnej sztuki mistrzów europejskich uzupełnia teraz artysta wyjazdami za granicę (w najbliższej przyszłości do Francji, ojczyzny Cézanne'a).

jeszcze raz wprowadził Lublin do sztuki ogólnopolskiej, jakością dorobku swojego wysunął się na czoło malarzy naszego regionu i dał się poznać szerszemu ogółowi w Polsce.

Zakończenie ćwierćwiecza działalności artystycznej Władysława Filipiaka uroczystym jubileuszem dowodził życiowego ustosunkowania się władz i społeczeństwa do spraw sztuki i do twórców i daje mocną gwarancję, że rzetelna praca nie pozostaje bez uznania i właściwej nagrody.



Władysław Filipiak: „Macierzyństwo”, rok 1957

(fot. J. Urbanowicz)

sposobem malowania. Artysta zaczął stosować nowe założenia udoskonalając swoją sztukę pod wieloma względami. W fazie przejściowej znalazły się jeszcze pejzaże kazimierzowskie; „Głowa kobieca” a zwłaszcza „Szkic portretowy”, potraktowany swobodnie, z maestrią, mocny w rysunku umbrą, prawie dyskretnie podmalowany kolorami, zapowiadały inną postać artysty. I ten nowy okres jego sztuki najdobit-

Filipiaka dominuje kompozycja spontaniczno-intuicyjna, od koloru w harmoniach barw uproszczonych, poprzez wyteżoną pracę nad sobą, nad rozwijaniem talentu, Filipiak wyrobił sobie mocne, zdecydowane i przemyślane pociągnięcie pędzlem, tworząc obrazy pełne głębokiej treści malarskiej. Artysta po dwudziestu pięciu latach pracy zdaje się odnajdywać siebie po raz drugi w ostatnich obrazach, w których

Poeta kwitnienia i śmierci

TADEUSZ KŁAK

NIE zawsze można ufać wypowiedziom poetów o sobie. Bywają czasem te wypowiedzi jednostronne, tendencyjne, czasem sformułowane na doraźny użytek publiczności. Ale jeśli Bronisław Ludwik Michalski pisze o sobie:

— czarodziej ciszy i smutku,
— piewca kwitnienia i śmierci
odczuwamy ogromną trafność tego określenia. Definiuje ono samą istotę jego poezji. Wszystkie zawarte w cytowanym fragmencie elementy przewijają się przez całą, tak zresztą krótką twórczość Michalskiego. W paru faktach można ująć jego życie. Urodził się w 1903 r. w Sieniawie, gdzie też uczęszczał do szkoły. Przechodził jako ochotnik kampanię 1920 roku, po wojnie wstępuje na uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Przyjaźni się tu z Janem Zahradnikiem i pisze pierwsze wiersze. W 1929 r. przybywa do Lublina, by po żywej działalności literackiej rzucić go w 1933 dla Warszawy. W Lublinie debiutuje tomikiem „Wzoraj” (1932). W Warszawie kompletuje drugi tomik, ale nie zdążył go wydać. Zginął w 1935 roku, w Warszawie, śmiercią topielca. Przyjaciele ogłosili pośmiertny zbiór wierszy „Spotkanie z brzozą”.

Co odróżnia debiutancki tomik „Wzoraj” od „Spotkania z brzozą”, to stopień dojrzałości i sposób traktowania materiału poetyckiego. Ale budulec zostaje ten sam.

A więc kwitnienie. Nie można sensu tego słowa sprowadzać do dosłownego znaczenia.

Kimże jesteś, powiedz, zgubiona w wicherze włosów,
że kwitniesz we mnie, jak w mgle magicznych zwierciadel.

(.....)
Jesteśmy jedną falą w czymś potężnym rozumie,
pędem, którego nie cofnąć — pędem, którego ni wstrzymać.
(„Stopami w uśmiech”)

Kwitnienie jest słowem o szerszym znaczeniu. Sugeruje przemianę. Kwitnienie to etap przemiany, etap rozwoju, któremu podlega wszystko: i przyroda, i człowiek. Nawet Bóg jest dla Michalskiego tylko Bogiem Przemiany. Jest w tym coś z panteizmu, z jego zmienności rzeczy, z utożsamiania się ze światem przyrody. U Michalskiego ten ostatni motyw wroca bardzo często. Wspomnieć można choćby „Powitanie lasu” czy „Spotkanie z brzozą”.

Kwitnienie oznacza cały żywy przyrody, który gra w twórczości Michalskiego najbardziej ważną rolę. To nie jest tylko sprawa motywów. To jest sprawa wyobraźni. Michalski nie tylko pisze o przyrodzie, on myśli kategoriami przyrody. Jest poetą pejzażu. Poetów pejzażu było wielu. Ale u Michalskiego każdy wiersz stanowi zamknięty krajobraz. Oto zakończenie wiersza „Jesienna praca”:

(Dokończenie na str. 11)

Poeta kwitnienia i śmierci

(Dokończenie ze str. 10)

dłonie wrastają korzeniami pracy
w kleistą miazgę snu o zdrowych
krzepkich pędach
na ich brzegu pachnące kwiaty
przeznaczają
wiosna którą różowi legenda.
Pejzaż jest więc zasadą kompozy-
cyjną. Przeczytajmy np. fragment
wiersza „Wiejski kościół”:
organy toczą lawę żywiczną
i sosnową
to gęsty las przegina się i rozpręża
w szumie
chutliwość białych piersi
ewangeliczne słowo
łożona modlitewnie dłoń lepszą
dół skubie
może pękaty urodzaj może znów
ożenek
okwiałający oczy jak śliwy
w głównej nawie
gdź w szkła okien uderza niebo
wysokopienne
i dawno obłocznym wiatrem
lazurową trawę

Ujmowanie wszystkiego w kate-
goriach przyrody określa też rodzaj
metafory. Opiera się ona na pojęciach
i relacjach zaczerpniętych ze świata
natury. Dlatego jej charakter jest bar-
dzo specyficzny. Co ją znamionuje, to
rozlewność, częste spiętrzenia, a stąd
czasem pewna ciężkość, mimo wyrazi-
stego rytmu. Brak opowania liryz-
mu i kondensacji metafory w pierw-
szym zbiorze wiąże Michałskiego z
tradycyjną poetyką. Niedojrzałość
młodzieńcza daje jednak o sobie znać.
Rozbudowa metafory nie zawsze odpo-
wiada intencjom poety. Niekiedy jest
ona rezultatem nieporadności w budo-
waniu obrazu i braku dyscypliny
(„Płaszcz”, „Ojciec”).

Trzeba dodać, że wiersze Michal-
skiego, te z pierwszego okresu, nużą
trochę swą jednostajnością. Główną
tego przyczynę, obok wspomnianych,
widzę w nadużywaniu przez Michal-
skiego przymiotnika i to często nie w
funkcji metafory, ale dosłownego,
pospolitego określenia (wiersze „Biała
madonna” i „Głazy nad jarem”).

W spokojny pejzaż coraz częściej
wplata się nurt osobisty. Smutek i o-
samotnienie, sygnalizowane w wierszu
„Narodzin” ze zbioru „Wczoraj”, po-
głębia się w dalszej twórczości. Ogólni-
kowe początkowo uczucie coraz bar-
dziej konkretyzuje się, widocznie bar-
dzo szybko w poecie dojrzewa. Prowa-
dzi to do uutożsamienia podmiotu lirycz-
nego z autorem. Początkowy wiersz
„Spotkanie z brzozą” — „Droga” —
zapowiada bunt wobec śmierci. Ale
już poemat „O życiu i poezji” przy-
nosi rozliczenie poety ze sobą i to roz-
liczenie wskazuje na rychły koniec
drogi. Później znów „Nokturn” z ja-
kimś przejmującymi, przedśmiertnymi
halucynacjami. I wiersz „Dlaczego”,
który nie wymaga żadnego komenta-
rza:

Powiedz mi, mamo, inaczej,
bo tak po prostu nie można już
teraz:
dlaczego ciężarem w barki
czterem, niosącym, się wżeram?...
Jeden z wierszy ostatnich — „Topiel-
cy” — mówi już właściwie wszystko:
Po co usta ma dzielić rozłąką?
Ciężar ciała pozostawmy w mule.

To jakby przygotowanie się do śmierci. Wczesnego poranka 27 lipca 1935 roku Bronisław Ludwik Michalski zos-
tawił ciało w nurtach Wisły. W kie-
szeni jego znaleziono „Ostatni wiersz”
(nie wiem czy to tytuł autora), najlep-
szy, najbardziej wzruszający i naj-
smutniejszy chyba wiersz Michałskie-
go. Znowu ostatnim gestem jest bunt
wobec Boga, protest przeciw przed-
wczesnemu wyrokowi:

Dlaczegoś zdarzył nie inaczej,
że muszę odejść stąd,
skoszony sierpem rozpaczy
na twój tragiczny ład?

Cytowane tu wiersze świadczą o
znacznej ewolucji poetyki Michałskie-
go. „Spotkanie z brzozą”, nie licząc
wierszy przedrukowanych z poprzed-
niego zbioru, wskazuje na większe
opanowanie języka i uproszczenie
metafory („Topielec”, „Nokturn”,
„Pamięci listopada”), choć są jeszcze
wyraźne pozostałości dawnej manieri,
jak początek „Ave Maria”:

Grzebiem chłodu czesze włosy
mgieł schylony nisko wieczór.
Mgły, jak warkocze zwiędłych
kobiet, w warkoczach kwiat
pachnie melancholią, co zaskrogała
bezsztalt zgasłych rzeczy.

Takich przykładów, powtarzam, roz-
budowanej i nietrafnej metafory ma-
my jednak bardzo mało. Ostatnie wier-
sze Michałskiego zbliżają się do mono-
logów, choć nie popadają w retorykę.
Zyskują jednak ogromną bezpośred-
niość połączonej z prostotą i wysoką
jakością środków poetyckich. Nie spo-
sób nie zauważyć w tym dobroczyn-
nego wpływu lubelskiej a potem
warszawskiej awangardy. Michałski
w krótkim czasie przebył rozległą drogę.
Od wpływów Jana Zahradnika,
które Michałski kwituje nawet dedy-
kacją, do samodzielnej stosunkowo po-
stawy. Zahradnik mógł zasugerować
ton smutku i dość tradycyjną formę,
poprawną zresztą, jak na zaścianek
poetycki, jakim był Lwów po pierw-
szej wojnie światowej. Pobyt w Lubli-
nie zmienił klimat wierszy Michałskie-
go. Poeta sporo od awangardy lubel-
skiej skorzystał, ale potrafił być nie-
zależny. Nauczył się wiele od Czecho-
wicza. Wiersz „Od zmierzchu”, zresztą
dobry, bardzo przypomina Czechowicza
„Na wsł”.

Nie dane było Michałskiemu konty-
nuować wyraźnie już zarysowanej
drogi. „Nie ma czasu na życie, kiedy
czas umierać” — pisał jego przyjaciel
— Zahradnik. Choć Michałski tak bar-
dzo liczył na swoje wiersze. Czuł się
tylko poeta. W poezji chciał zostawić
sobie świadectwo. Wraca do tego pro-
blemu w licznych utworach: „Narodzi-
ny”, „Droga”, „O życiu i poezji”, „Do
gruszy”. W wierszu „Z poematu” po-
wiada:

Z welonu otchłani jaśniejący cień
wynisyonym kształtem do ust tuli
mi Słowo:
tę, której nigdy nie spełnię
Pieśń...

Michalski tej pieśni nie spełnił, ale
wniósł do poezji dwudziestolecia swój
samodzielny ton. Był poetą kwitnienia
i śmierci. Poetą tragicznie smutnym.
Jeśli przyjdzie kiedyś szansa dla ta-
kiej poezji, Michałski uznany zostanie
za wybitnego poetę.

Dla mnie Michałski już takim jest.

Tadeusz Klak

ANDRZEJ TURCZYŃSKI

Piorąca pieluszki

w rzezce
w której mył ręce
święty krzysztof
anna pieluszkj pierze

o rozkwitające
owocujące drzewo miłości

pieluszki płatki chmur
gwiazdne oczy odbijają się w rzece
pierz pierze pieluszki anna
w hurkoczącej błękitnej kiecce

o rozkwitające
owocujące drzewo miłości

potem przybiegną koboldy
o uśmiechu jak stąd do słońca
w krzakach łozin zagwizdże słowik
zacznie anna po szmaragdzie murawy
tańczyć

o rozkwitające
owocujące drzewo miłości

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

Poeci

między Jednym a Drugim słowem
hula morze
i tam pływają
wiatr dmie w brody — żagle piratów

Umieją tkąć kontynenty z dymu
— wędrują po nich do rana
zagubieni

nie bardzo pewni kruchych
śladów
które są portem

*

*

św. jan kapistran
strzelał z kapiszonów
i nawet kluczy

ciekawe jak mu
się wiedzie w niebie?

Wystawa w kawiarni

JANINA STASIAK

Niedawno otwarto w Lublinie ka-
wiarnię. Cieszy się ona dość dużym po-
wodzeniem. Jasne, niby nowoczesne,
ale nieciekawe jej wnętrza nie jest ani
przyjemne, ani przytulne, a zawieszona
na ścianach kicz z wielbłdami na
pustyni i jesiennymi alejkami raziły
smak artystyczny każdego kulturalne-
go człowieka.

W ostatnich dniach września oblicze
kawiarni zmieniło się nieco. Wspom-
niane wyżej kicz ustąpiły miejsca
pracom Ryszarda Kiwerskiego i Tytu-
sa Dzieduszyckiego, młodych artystów
grupy „Zamek”. Pokazu tego nie moż-
na uważać za wystawę reprezentującą
w pełni dorobek i możliwości młodych
twórców. Uderza przypadkowość zesta-
wu prac. Kiwerski wystawił oleje,
Dzieduszycki zaprezentował prace gra-
ficzne, nie to jednak jest najważniej-
sze: obok abstrakcjonizmu miękkiego
widzimy tu próbki abstrakcji klasycy-
nej, a także niemal realistyczne głowy
kobiece Kiwerskiego. Poziom wysta-
wionych prac także jest nierówny.
Przy swobodnym operowaniu plamą
i linią w niektórych grafikach, czy du-
żej kulturze „Maszyny” — inne prace,
jak choćby „Kompozycja 3” Kiwerskie-
go rażą przypadkowością i brakiem
umiaru. Wspomniane główki kobiece
nie są też na pewno szczytowym osią-
gnięciem. Znacznie lepsze prace Kiwer-
skiego można było obejrzeć na wysta-
wie grupy „Zamek” w Warszawie. Nie
bawmy się jednak w rozdawanie cen-
zurek, tym bardziej że — jak już
wspominałam — wystawa jest zbyt
mała, by reprezentować w pełni pracę
malarzy. Jest to raczej pokaz warszta-
towy.

Znaczenie wystawy polega na czym
innym. Jest to pierwsza w Lublinie
próba zerwania z oficjalnym „sztwy-
niactwem” plastyków, zejście z „Olim-
pu”, zbliżenie artystów do widza. Po-
myśl ten zresztą nie jest nowy. Już
dawno kawiarnie skupiały artystów.
Można by nawet nawiązać do tradycji

„Michalikowej jamy” z okresu Młodej
Polski. Nie sięgajmy jednak tak dale-
ko. Wystawianie w kawiarniach jest
powszechnie przyjęte na Zachodzie,
a w kawiarni „Nowy Świat” wysta-
wiają z czołowi plastycy Warszawy.

W Lublinie podobną rolę spełniały
wystawy organizowane w Klubie
ZZPK w ubiegłym roku. Zapoznawali
się z nimi jednak ludzie z pewnego
tylko środowiska, przeważnie zainte-
resowani plastyką. Kawiarnie są dla
wszystkich. Tu ludzie, którzy nigdy nie
chodzą na wystawy, niejako zmuszeni
są do patrzenia na pokazane obrazy.
Dlatego wystawy takie osławiają pu-
bliczność z nową sztuką, wychowują
widza. Pomysł doskonały — warto
kontynuować.



Tytus Dzieduszycki:
„Kompozycja”



Ryszard Kiwerski:
„Portret”

Jest źle - musi być lepiej

(Dokończenie ze str. 2)

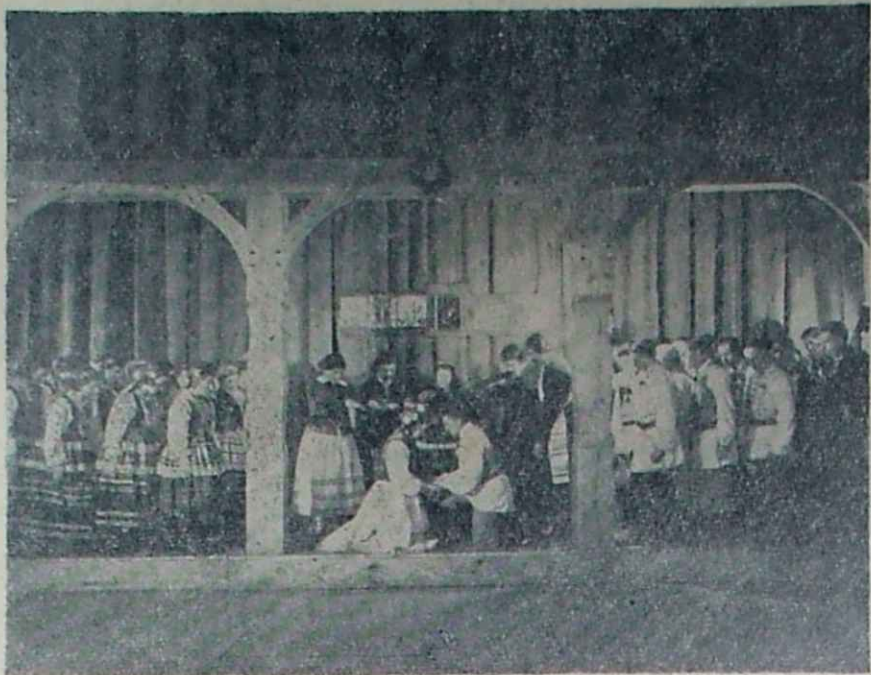
tego gospodarowania i rozumnej
oszczędności, ale z drugiej strony nie
wolno w imię tylko zinnego, kupiec-
kiego wyrachowania pogłębiać starych
i tworzyć nowe zaniedbania. Pewne
minimum funduszy, gwarantujące stały
rozwój życia kulturalnego naszego
miasta, musi być bezwzględnie zapew-
nione, przy czym przyjętą należy kieru-
nek stałego, w miarę możliwości, ich
powiększania. Na realne tory musi
bezwzględnie wejść sprawa systema-
tycznego inwestowania obiektów kul-
turalnych w mieście. Jako zadania na
najbliższy okres widzę i postuluje wy-
budowanie możliwie dużego obiektu
mieszkalnego z częścią hotelową dla

pracowników kultury, sali widowisko-
wej przystosowanej dla kina panora-
micznego, obiektu dla teatru muzycz-
nego (operetki) i sceny kameralnej dla
teatru im. Osterwy. To jest moim zda-
niem minimum do zrealizowania w
możliwie najkrótszym czasie, jako nie-
zbędny warunek rozwoju życia kulta-
ralnego miasta. Nie widzę natomiast
żadnego sensu i celu w kosztownej in-
westycji, jaką jest budowa sali wido-
wiskowej na Zamku. Niestety stwierd-
zenie to jest przysłowiową musztardą
po obiedzie.

Podane przeze mnie powyżej uwagi
nie wyczerpują oczywiście całokształtu
zagadnienia życia kulturalnego miasta.

Nie miałem zamiaru ani nie czuję się
na siłach, by zagadnienie to, niewątpli-
wie dostatecznie skomplikowane, same-
mu w pojedynkę w całości rozgryzać.
Wybrałem niektóre momenty, według
mego zdania, bardzo istotne. Być może,
i chyba na pewno, są i inne, może
równie ważne, a może i ważniejsze od
tych, które ja poruszyłem. Chodzi mi,
przynajmniej szczerze, o rozwiązanie
tych języków, które mogłyby i powin-
ny coś na te tematy powiedzieć. Jest
w Lublinie niemała garść ludzi, którzy
mogą i powinni zacząć w sprawach
kultury i mówić i konkretnie działać.

Bolesław Resch



Scena z widowiska regionalnego „Wesele lubelskie”, wystawionego w Lublinie w czerwcu 1939 r. podczas „Dni Lublina i Lubelszczyzny”.

Orzeczenie Sądu Koleżeńskiego przy Zarządzie Głównym ZLP

Sąd Koleżeński przy Zarządzie Głównym ZLP na posiedzeniach w dniach 10 i 11.X.57 r., po rozpatrzeniu skargi Kol. Anatola Sterna przeciwko Kol. Antoniemu Słonimskiemu i po zapoznaniu się z opiniami wezwanych przez obie strony rzeczoznawców w osobach Kol. Seweryna Pollaka, Juliana Przybosa, Aleksandra Wata i Adama Ważyka, oraz po bezskutecznej próbie mediacji, doszedł do następujących konkluzji:

Sąd przychylił się do opinii większości rzeczoznawców, że nie da się identyfikować prądów artystycznych z kierunkami politycznymi, że nie ma między nimi nierozzerwalnych związków, a zatem apodyktyczne twierdzenie zarówno Kol. A. Słonimskiego jak i Kol. A. Sterna, wiążące futurizm polski z tendencjami bądź faszystowskimi, bądź im przeciwnymi, nie mogą uchodzić za bezsporne.

Dodatkowym elementem rozdrażnienia było złośliwe zniekształcenie fragmentów utworów Kol. A. Sterna, którymi bez sprawdzenia posłużyło się, niestety, kilka czasopism („Kamena”, „Zycie Literackie”, „Sztandar Młodych”), a za nimi również Kol. Antoni Słonimski.

O czym pisała „Kamena” przed 20 laty

Wrześniowy numer „Kamena” zawierał artykuł Hieronima Michalskiego „Cierpienia współczesnych Werterów” i Stefana Napierskiego „Młodzi poeci polszycy”, wiersze Jana Brzękowskiego, Juliana Przybosa, Stanisława Wygodzkiego, Antoniego Bogustawskiego, Józefa Andrzeja Frasika, przekłady z czeskiego (Nezval w tłum. K. A. Jaworskiego i Adolfa Czerny w tłum. J. Wieleżyńskiej) i angielskiego (Wulfred Owen w tłum. J. K. Weintrauba) oraz wspomnienie z wyprawy andyjskiej J. A. Szczepańskiego „Na wierzchołku Ojos del Salado”. Wkładka lino-rytowa Zenona Waśniewskiego.

W październikowym numerze „Kamena” znajdowały się wiersze Stefana Napierskiego, Zbigniewa Bienkowskiego, Czesława Janczarskiego, Piotra Korzucha, Stan. Kaz. Trawkowskiego, artykuł Grzegorza Timofiejewa „Z rodowodu Judyków”, przegląd poezji Hieronima Michalskiego, proza Kazimierza Truchanowskiego „O budowie systemów”, przekłady z czeskiego i słowackiego (Nezval i Smrek w tłum. K. A. Jaworskiego) i angielskiego (Massfield, Stephens, Dowson, Brooke i Sitwell w tłum. A. Messinga i J. K. Weintrauba). Numer zdołała wkładka lino-rytowa Zenona Waśniewskiego.

Sąd Koleżeński nie dopatrzyl się cech zniekształcających w wypowiedziach Kol. A. Słonimskiego, zamieszczonych w łamach „Nowej Kultury” (nr 22 z 2.VI.57 i nr 34 z dn. 25.VIII.57), ponieważ zdaniem Sądu są w nich zawarte jedynie twierdzenia, będące wyrazem osobistych poglądów autora, mogące być przedmiotem dyskusji i sporów literackich, ale w użytych sformulowaniach nie zawierające elementów osobistej napaści. Sąd Koleżeński uważa jednak, że pewne wypowiedzi zawarte w omawianych artykułach Kol. A. Słonimskiego są zbyt pochopne i nie dość przemyślane.

Sąd Koleżeński oddała skargę Kol. A. Sterna „o potępienie Kol. A. Słonimskiego za łamanie dobrych obyczajów literackich”, a także wyraża zdziwienie, że o przestępowaniu dobrych obyczajów upomina się autor listu do redakcji „Nowej Kultury” nr 36 z dn. 8.IX.57 r. oraz artykułu pod tytułem „Falszerze”, zamieszczonego we „Współczesności” nr 8 (sierpień-wrzesień 57 r.), artykułu pełnego insynuacji i obelg.

Jakkolwiek Kol. A. Stern mógł czuć się głęboko dotknięty krzywdzącą w jego mniemaniu oceną swego macierzystego kierunku literackiego i deformacjami swych utworów, Sąd uważa, że nie upoważnia to w niczym do tego rodzaju niedopuszczalnych wystąpień. Sąd Koleżeński jest również zdania, że wyniesienie tej sprawy na forum publicznie przez skierowanie jej na drogę sądową już po złożeniu w Sądzie Koleżeńskim przy Zarządzie Głównym ZLP — jest wysoce niewłaściwe.

(-) Helena Boguszevska
(-) Jerzy Ficowski
(-) Egon Naganowski
(-) Jan Wyka

Nie możemy się zgodzić ze sformulowaniem nadesłanego nam orzeczenia Sądu Koleżeńskiego: „złośliwe zniekształcenie fragmentów utworów Kol. A. Sterna”. Sprawa ta została całkowicie wyjaśniona w liście J. Złebę zamieszczonym w nrze 18 „Kamena”: nie było żadnej „złośliwości”, tylko przeoczenie błędów w maszynopiśmie.
(Red. „Kamena”)

Antologia wierszy o Poznaniu

Wydawnictwo Poznańskie zamierza w roku 1958 wydać antologię wierszy o Poznaniu. W związku z tym prosimy uprzejmie twórców i interesujących się tym zagadnieniem czytelników o nadsyłanie nam utworów lub notatek bibliograficznych o nich. Interesują nas wiersze już publikowane, i to zarówno poezje dawne, jak i współczesne. Ze względu na krótki termin przeznaczony na opracowanie antologii prosimy uprzejmie o nadsyłanie utworów do dnia 15 grudnia 1957 r.

Wydawnictwo Poznańskie
ul. Fr. Ratajczaka 35

STANISŁAW SKALSKI: „CZARNE KRZYŻE NAD POLSKĄ”

Pierwszy nakład arcyciekawej książki młodego Stanisława Skalskiego rozszedł się momentalnie. Mówi to o wartości dzieła, ale jest też miłą zainteresowania społeczeństwa dla tamtych czasów, dla dni kłębki. Pamiętnik swój poświęca autor „przyjaciółom i kolegom, którzy zginęli samotną śmiercią pilota myśliwskiego, a których mógł nie pielęgnować ręce matek”. Krótki, zwięzły wstęp wprowadza nas w niezwykły, nimbem bohaterstwa owiane wspomnienia jednego z 150 pilotów, którzy w niezapomnianych dniach września podjęli nierówną walkę z ośmiokrotnie przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Jednak Skalski w swych wspomnieniach nie tylko opisuje chwile spędzone między niebem a ziemią, ale potrafi również o „najżywotniejsze codzienne wydarzenia”. Jest to potrzebne dla scharakteryzowania atmosfery, w której toczyła się ta zawzięta walka.

„Czarne skrzydła nad Polską” urzekają prawdą i bezpośredniością obserwacji. Jest w nich szczerze żołnierskie wyznania, hart i miękość. Zastrzeżenia może budzić jedynie strona ilustracyjna tej ciekawej pracy.

JAN SKOTNICKI: „PRZY SZTALUGACH I PRZY BIURKU”

Jana Skotnickiego poznaliśmy dotychczas jako płodnego i bardzo ruchliwego artystę malarza, którego obrazy podziwialiśmy na wystawach w Zachęcie Sztuk Pięknych, i jako dyrektora departamentu sztuki w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Ten sędziwy dzisiaj artysta, działacz i polityk, napisał ostatnio ciekawą książkę pt. „Przy sztalugach i przy biurku”. Są to wspomnienia, obejmujące pół wieku działalności artystycznej (przy sztalugach) i działalności kulturalnej, na stanowisku kierownika wydziału i departamentu (przy biurku). Na marginesie własnej autobiografii kreśli autor ogromnie cenne i bardzo interesujące uwagi, dotyczące historii ostatniego pięćdziesięciolecia. Przewijają się tam obok siebie nazwiska wybitnych poetów i pisarzy (Rydel, Wyspiański, Tetmajer), malarzy (Zelechowski, Fałat, Malczewski) oraz znakomych mężów stanu. O każdym z tych ludzi ma Skotnicki swój własny sąd i jakieś osobiste wspomnienie, rzucające właściwe światło na tę postać.

Pamiętnik Jana Skotnickiego czyta się z wielkim zajęciem, jak dobrą powieść. Ozdobą książki są ilustracje, według obrazów autora.

DR GRZEGORZ FEDOROWSKI: „DZIADEK Z PLACU NAPOLEONA”

Jest to prosty i bardzo bezpretensjonalny pamiętnik lekarza warszawskiego pogotowia ratunkowego. Wspomnienia, z których wyziera cała stara Warszawa, wraz ze swoim obyczajem, bujnym życiem i kulturą. Autor interesująco opowiada, jak w ciągu długich lat niosł pomoc potrzebującym, jak ratował samobójców, robotników budowlanych i szarych przechodniów z ulicy. Była to praca społeczna, podczas której lekarz miał możliwość poczynienia ciekawych obserwacji, mógł dotrzeć do pałaców i suterenu. „Chciałem w tych obrazach” — pisze autor we wstępie — „pokazać i starą Warszawę, widzianą z okna weliiku i pracę warszawskiego pogotowia ratunkowego, które właśnie obchodził 60-lecie swojego istnienia”.

Autor doskonale wypełnił swój zamiar. Dał czytelnikowi książkę żywą i ze wszech miar interesującą, stanowiącą nie tylko pamiętnik lekarza społecznika, ale i karty zaplanowane przez bystrego obserwatora obyczajów i wszelkich przejawów życia współczesnej Warszawy. „Dziadek z Placu Napoleona” na pewno zdoła sobie powodzenie wśród czytelników zakochanych w literaturze pamiętnikarskiej.

HELENA MODRZEJEWSKA: „WSPOMNIENIA I WRAŻENIA”

Nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wyszła księga pt. „Wspomnienia i wrażenia”. Są to pamiętniki Heleny Modrzejewskiej, wydane po raz pierwszy w języku polskim. Z zainteresowaniem przystępujemy do tej fraapułej lektury, sądząc, że powiększy ona zasób naszych stosunkowo skąpych wiadomości o wielkiej aktorce, ale wkrótce doznamy rozczarowania. Karty pamiętnika są pisane bowiem bez wewnętrznego ognia, dźwięnie oschle i jakby zdawkowo. Zbyt mało tam materiału, który dotyczyłby samej Modrzejewskiej, jej osobistego życia i jakieś elektrycznych losów. Autorka chyba zupełnie celowo unika wszelkich wzmianek o charakterze autobiograficznym, koncentrując swoją uwagę niemal wyłącznie na sztuce teatralnej, na kreowanych przez siebie rolach. Sąd wielki brak, jaki odczuwa czytelnik tej ładnie wydanej, imponującej książki.

BENVENUTO CELLINI: „ZYWOT WŁASNY” PRZEKL. LEOPOLDA STAFFA

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazało się drugie po wojnie wydanie pamiętników Benvenuto Celliniego, w przekładzie Leopolda Staffa. Ten wspaniały i jedyny w swoim rodzaju awanturnik zaczął kreślić swoje pamiętniki w pięćdziesiątym ósmym roku życia swego — w r. 1538, by doprowadzić je do r. 1562. Najpierw pisał własnoręcznie, później zaś zaprzęgił do tej pracy chorowitego, czernstaeletniego chłopca, Michela di Goro z Tieve a Grogpio, który za pół skuda miesięcznie prowadził mu rachunki i korespondencję. Mistrz dyktował mu swój żywot.

Odbito się to na formie pamiętnika, którego styl jest niezręczny, zdania długie, poszarpane. Mimo to Cellini stworzył prawdziwie dzieło, pamiętnik pełen życia, pul-

sujący krwią namiętności. Na kartach jego zamknął Cellini bujne życie miast i książęcych dworów, odmalował zwyczaj i obyczaj, właśnie i wojny, pracę i swawolę. Z brawurą pisze o władcach i papieżach, nie zacierając prawdy, ale w sposób bezlitosny i brutalny wydobывая ją na światło dzienne. Dlatego można powiedzieć, że w „Zywocie Celliniego” jest zamknięty obraz epoki, epoki najwspanialszej w dziejach, w której zwykli śmiertelnicy ocierali się o genialnych tytanów, a sztuka była religią.

Pamiętnik urywa się nagle. Brak w nim historii ostatnich ośmiu lat życia autora. Pominął też Cellini lata 1557—58. W latach tych siedział w więzieniu.

„Zywot własny” Celliniego czyta się jedynym tchem, jak najpiękniejszy, najciekawszy romans. Przekład Leopolda Staffa doskonały.

ALINA SWIDERSKA: „ADAM”

Nazwisko Aliny Swiderskiej jest niemal że nieznanym szerokiemu kręgowi czytelników. Nie mniej pamiętamy jej interesujące dzieło o Zygmuncie Krasie, w którym zamknęła autorka wiele cennych uwag o twórcy „Irydiona”. Z tym większą uwagą zabieramy się do lektury nowej książki A. Swiderskiej, zatytułowanej „Adam”, a stanowiącej pierwszą część wielkiego dzieła o Adamie Mickiewiczu. Przynam się, że najpierw podchodźmy do pracy tej z pewnego rodzaju sceptycyzmem. Tyle już bowiem napisano u nas na ten temat, że trzeba mieć nie lada talent i do tego dużą erudycję, by nie wpaść w banal i nie powtarzać tego, co powiedzieli inni. Okazało się jednak, że Swiderska ma jedno i drugie, i już od pierwszych kart „Adama” snuje barwną, niezwykle ciekawą opowieść o młodości Mickiewicza.

Swiderska w swoim obszernym dziele celowo pominęła dzieciństwo wieszca, a powieść biograficzną rozpoczyna od chwili rezygnacji się poety z Marylą. Dzieciństwo „śielskie, anielskie” nie mieściło się po prostu w ramach kompozycji. To w znacznym stopniu zuboża książkę, ale nie odbiera jej wartości i rzetelnego uroku, jakim tchnie każda z kart „Adama”. Narracja płynie lekko, potoczyście. Treść dzieła, aczkolwiek na ogół nie zaskakuje, przykuwa uwagę czytelnika. A jednocześnie zbliża postać wielkiego poety. Trudno się tylko zgodzić z autorką, kiedy twierdzi, że jej „powieść biograficzna” jest zaledwie beletryzowanym życiorysem Adama, a nie ma najmniejszej pretensji do wartości siłki naukowej. Powieść pt. „Adam”, której dwa pierwsze tomy ukazały się spod prasy, jest oparta na doskonałych i znakomicie przez Swiderską opanowanych źródłach, na dokumentach i faktach i dlatego ma poza wartością beletryzacyjną jeszcze i znaczenie żywego, w piękne ramy zamkniętego dokumentu.

Na specjalną uwagę zasługuje język książki. Jest prosty, barwny i dojrzały. Trzeba mieć nie lada talent, by pokusić się na powieść o Mickiewiczu, nie zatracając nie i wielkiej indywidualności i ogromu postaci wieszca. Tego właśnie zadania podjęła się Swiderska i wyszła z niego zwycięsko.

Przedmowę napisał tak świetny znawca przedmiotu, jak niedawno zmarły prof. Juliusz Kleinert. Jego ocena dzieła jest nie tylko dodatnia, ale często i entuzjastyczna.

ink

Stanisław Skalski: „Czarne krzyże nad Polską”, PIW, 1957.

Jan Skotnicki: „Przy sztalugach i przy biurku”, PIW, Warszawa 1957.

Dr Grzegorz Fedorowski: „Dziadek z Placu Napoleona”, Czytelnik, Warszawa 1957.

Helena Modrzejewska: „Wspomnienia i wrażenia”, Wyd. Literackie, Kraków 1957.

Benvenuto Cellini: „Zywot własny”, PIW, Warszawa 1957.

Alina Swiderska: „Adam”, t. II, „Pax”, Warszawa, 1957.

odpowiedzi redakcji

Wiera Kom. i Maryla Sz. w Zabłociu. Radzimy nie pisać wierszy a przede wszystkim nie przysyłać ich do „Kamena”.

Jerzy S. Fel. w Łodzi i Leszek A. Moczul. w Krakowie. Nie skorzystamy.

Wład. Urb. w Górze Puławskiej. Bardzo słabe.

Mar. Ośn. w Warszawie. Zatrzymujemy do ewentualnego zamieszczenia w przyszłości (obecnie bardzo ciasno) „Listopad”, „Lipy” i „Wisłę” Shmida.

Rysunek w numerze: Miroslaw Komendecki